

Stanisław Rams

DWAJ ŻOŁNIERZE O ZMIERZCHU

Witaj, dobrze, że przyszedłeś! Tyle lat! Postarzeliliśmy się bracie! W kościach już tamie, sny niespokojne dodają nocom godzin. Sni mi się czasem masakra nad Nysą. Ataki czołgów na pozycję skrwawionego plutonu. Słyszę śpiew katusz. Ryk armat. Plac młodego żołnierza z urwaną nogą. Bitewną wrzawę na zrudziałym pagórku. Pamięć odrzuca tamte zmierzchy z księżycem nad obcą ziemią, gwiazd zwiadowców w nadrzecznych łożach. Przeżyto się trochę. Pamiętasz Bułat? Przekazałeś wieczorem rozkaz, aby zająć stanowiska obronne pod miasteczkiem Niesky. Po trzech dniach nieustannej walki, chłopcy padali niemal martwi ze zmęczenia, w mokrych mundurach, utyłani w kwietniowym błocie. Potowę mojej kompanii już w pierwszych godzinach śmierć rozrzuciła po grząskiej równinie. Żywych sen napadł przy grzebaniu ziemi saperką łopatką. Nad ranem stalowe tygrysy wyskoczyły z pobliskiego sośniaku. Byliśmy bezradni jak dzieci. Eh, napij się lyczka, majorze, wspomnienia zawsze rozkłiwiają. Trzymałem tę butelczynę na wielką okazję.

To dobry trunek. Odświeża umysł. Ale pamięć męczy. Chciało by się ją wydrzeć z siebie, przekreślić, wymazać jak beifer maże mokrą gąbką tablicę pełną białych znaków. Zawsze byłem pacyfistą. Żyłem sobie cichutko, — ja wiejski nauczyciel polskiej szkółki nad wschodnią granicą. Przyszła wiadomość, że pod Żytomierzem tworzy się druga armia. Zostawiłem żonę, ciepły dom rodzinny, spokój zmierzchów i różowych świtów, by włożyć juchlowe buty frontowca.

Zostałem wcielony, jak wiesz, do zmotoryzowanej brygady piechoty. Zawsze twierdziłem, że ta brygada miała wybitnego pecha. Największe bały zbierała. Zwłaszcza mój pluton kostucha polubiła. Gdzie najtrudniej, tam nas posyłała. Pod Budziszynem na przykład wracaliśmy do tyłu, aby przysięść do siebie, nieco odsapnąć po dwóch ciężkich dobach, uzupełnić braki w ludziach i sprzęcie. Złapał nas radziecki dowódca jednostki walczącej na styku. — A wy gdzie? — krzyczy w swoim śpiewnym języku. — Tam na skrzydle przedziera się swołocz! Ebiegim, zatrzymać ich! Rozumiesz? Mój pluton, w składzie kilkunastu ledwo żywych ludzi, dostaje raptem zaszczepny rozkaz zatrzymania setek wrogów. Dowódca widząc kiepską sytuację na tym odcinku, kierował tam każdego, kto jeszcze dychał, poruszał nogami. Tamci parli do przodu jak wściekłe psy, podpici esesmani przy stadzie warczących czołgów. Zmiotli nas po kilkunastu minutach. Poczułem ostry ból w pierśsiach i straciłem przytomność. Obudziłem się w polowym lazarecie.

Gadam dziś trochę chaotycznie, prawda? Za dużo wspomnień cisnie mi się naraz. Bo zanim dostałem ranę w płuca, zanim pękająca pocisk strzaskała mi trzy żebra i pogryzła odtłankami, było wiele innych przeżyć frontowych. Byliśmy niańkami czołgów. Zawsze chce mi się śmiać, gdy widzę na obrazkach potężne cielsko bogawo wojny, który pędzi przez ugory i zarośla, przewraca drzewa i domy, a na nim drobne sylwetki żołnierzyków. Ukrytych za stalową wieżyczką. Z pepeszami gotowymi do strzału. Wygląda, jakby czołgisci laskawie wozili piechurów autostopem, do miejsca przeznaczenia. Rzadko przychodzi komuś do głowy, że sytuacja jest akurat odwrotna. Czołg bez pie-

choty w osłonie, zachowuje się jak bezradne dziecko. Byłe wiązka granatów może go zabić, byle butelka benzyny zamienić w pochodnię.

Oszem, tabun czołgów działa obezwładniająco na żołtodziobów. Kto przełamie strach, ten na pewno wygra pojedynek nerwów. Po zdobyciu jakiegoś miasteczka nad Szprewą, dowódca Kolasko daje mi zadanie: Slusarz, weźcie swój pluton i okopcie się na tamtym wzgórku, przy kępie drzew. Wieczorem gdy tamci z lasu będą nas chcieli zaskoczyć, powstrzymajcie natarcie. Jeśli się wycofacie, pójdzcie pod sąd!

W plutonie miałem wtedy pięciu ludzi zdolnych do walki. Pod wieczór rzeczywicie ruszyli na nas. Starannie oczyściliśmy seriami hitlerowców, przyklejonych do stali pędzących diabłów. Odrzuciliśmy do lasu tych, którzy biegli za nimi w ataku. Czołgi przejechały przez nasze pozycje; za nami czekały na nich działka. Pięknie wyglądają palące się czołgi na tle ciemniejącego horyzontu.

Historycy piszą dziś o heroizmie żołnierzy i błędach strategów. Frontowcy przemilczają swoje słabości, chwalać się odwagą. Do walki szło się ponoć jak do tańca. Owszem, była ofiarność. Odwaga szaleńcza. Wisielczy humor i zgrywa. Ale był też strach, zwykły, ludzki strach przed bólem, fizycznym unicestwieniem. Była tęsknota za bliskimi. Rozpacz na widok przyjaciół w agonii. Był głód. Poniawierka. Wszy. Oczy czerwone od niewyspania. Im bliżej końca wojny, tym mocniej pragnęło się żyć. I myśmy się z tego piekła wyrwali...

Pokaż no tę mapę, co leży na górnej półce. Niech sobie w ten wieczór jeszcze raz przypomnę szlak, wydeptany żołnierskim butem. Ty Slusarz patrzyłeś na wojnę oczyma człowieka, którego chcą zabić. Aby żyć, musiałeś sam zabić. Strzelać celnie, szybciej niż wróg. Ideały pacyfisty, w konfrontacji z wojenną rzeczywistością, okazały się zleżalą starością. Mnie śmierć na polu bitwy trochę inaczej obchodziła. Jako szefa sztabu batalionu obchodziło mnie przede wszystkim to, czy pododdziały wykonały w danym dniu zadania bojowe. Czy są zdolne do walki w następnym dniu. Straty sprzętu wojennego i ludzi obliczało się z ołówkiem w rękę, popijając mocną kawą. Jak sklepikarz — całodzienny utarg. Nam nie wolno było się mazać. Wzruszenie na widok ludzkiego nieszczęścia zabijało w człowieku dowódcę. Schemat myślenia był prosty: brygada dostała rozkaz, aby zwyciężyć. Jeśli ten rozkaz okazałby się niemożliwy do wykonania, żołnierze powinni umrzeć. Nie w panicznej ucieczce, lecz w pozycjach obronnych, spokojnie, z godnością. Strachliwych należało rozstrzeliwać, usuwać z oddziałów, jak chirurg usuwa lancetem chorobę tkankę na operacyjnym stole. Prawa wojny zawsze były lakoniczne. Zimne. Jasne. Bezwzględne.

Myśmy później wtoczyli się do wojny. Pamiętasz ten dzień? Wędrowaliśmy przez wyzwoloną Polskę tysiąc kilometrów, by dostać się do wroga. Korpus Pancerny, w skład którego wchodził nasz I Batalion Zmotoryzowanej Piechoty, pod dowództwem Aleksandra Kolasko miał rozkaz zatrzymać się pod Wrocławiem, w rejonie Trzebnicy i Oleśnicy. 29 marca dotarliśmy nocą do tego rejonu ześrodkowania. Młodzi, przeważnie niedoświadczeni żołnierze, po kilku miesiącach ćwiczeń, tutaj właśnie poczuli pierwszy smak frontowych

dni. Wrocław się palił! Radzieckie jednostki dobijały hitlerowców w obleżonym mieście.

Co było potem? Tak, w tydzień później nasz korpus pancerny, a wraz z nim nasza brygada, przesunęły się pod Bolesławiec. Zaczęliśmy się pośpiesznie przygotowywać do operacji zaczepnej na Rothenburg, Budziszyn, Drezno. 16 kwietnia, w godzinach popołudniowych, na rozkaz dowódcy II Armii Wojska Polskiego — gen. Karola Świerczewskiego, przeprawiliśmy się wśród wrzawy bitewnej przez Nysę, zajmując przyczółek w rejonie Biehai i Gehege. Wczesnym rankiem ruszyliśmy do natarcia na hitlerowskie, umocnione pozycje. Związałyśmy się kilkudniową walką w niedogodnym, leśnym i bagienym terenie w okolicy Niesky.

Musisz przyznać, stary, że ciężko w tych dniach było. Nie tylko dla prostych żołnierzy. Również dla dowódców, łamiących sobie głowę nad sztabowymi mapami. Podnóża Sudetów, lasy Mużakowskie, rzeki, jeziora, tereny bagienne i wzgórza ryglujące zostały dobrze przygotowane do obrony. Hitlerowcy rozmieścili tutaj wielkie ilości schronów bojowych, podziemnych bunkrów, rowów strzeleckich, przeciwpancernych, pół minowych i diabli wiedzą — jakie inne zasadzki! Ich obrona nie miała charakteru ciągłego. Opierała się o mocne punkty oporu, zorganizowane w poszczególnych miejscowościach. Biliśmy się z jednostkami 4 Armii Pancernej, wchodzącej w skład Grupy Armii Środek, dowodzonej przez Ferdynanda Schoenera. Szczególną dzielnością wyróżniał się Korpus Pancerny Grossdeutschland z przydzieloną Dywizją Hermann Goering oraz Dywizją Pancerną Brandenburg.

Dowódca naszego I Korpusu Pancernego gen. Józef Kimbar dostał rozkaz od wodza armii, aby przegrupować się dwiema trasami do rejonu Budziszyna, a następnie kontynuować pościg w stronę Drezna. Braki w paliwie, amunicji, rozgardiasz na zapleczu, dziesiątki rozbitych czołgów, setki zabitych, komplikowały sytuację. Gdy 22 kwietnia nasza brygada dotarła na przedpole Drezna, na lewym skrzydle polskiej armii rozpoczęło się z okrażonego Budziszyna przeciwdzierzenie hitlerowców. Usiłowali przeciąć pas natarcia naszej armii i wydostać się w kierunku Berlina, który już wtedy był w wielkich opatach. Wobec tego Świerczewski zaważca nas spod tego Drezna i każe nam ryglować zachodni bok klina włamania wroga pod Budziszynem.

Pamiętasz Slusarz te groźne godziny? Tę dramatyczną noc w hitlerowskim kotle? Na drugi dzień twoja kompania dostała zadanie, aby odzyskać teren na wschód od miasta. O, patrz, to rozwidlenie dróg, to wzgórze na północ od jeziora. Cały dzień walczyliśmy jak lwy, zanim pod wieczór otrzymałyśmy w sztabie meldunek o sukcesie. Pierwsza i trzecia kompania zaryglowały drogi na północ i wschód.

Dziesięć dni nieustannych walk, ciągle manewry oddziałów w terenie, aby związać siły hitlerowskie, walka, operatywność, ruchem, wyczerpywały nasze siły. Żołnierz ze zmęczenia padał z nóg. Myśmy to w dowództwie widzieli. Podziwiali jego męstwo. Jego hart. Ale rozkaz musiał być twardy: rozbić, albo przynajmniej nie do-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Ludmila Pietruszkowa

Moje miasto

Tu gdzie w prostokąt nieba za oknem wgrzają się wieżowce tu gdzie trasy WZ i Północ-Południe ciepłymi jezarami wylizują ogrody tu gdzie za każdym świeżym zwałem gruzów wdzieczą się nowe oblicza obnażone oczom przechodniów i tu gdzie oszołomiony wiatr wpada znieczeka w wolną przestrzeń lub obija boki o zwoylbrzymiałe nagłe kształty gdzie zdziwiona rzeka przystając nasłuchuje tu moje miasto rozplenia się obce tu moje miasto — moim dzieciom bliskie

Dla ziemi świeci słońce tysiące

Ta prawda jest względna że dla Ziemi jedno tylko świeci słońce — jest jasnością upragnioną naszych oczu życiodajną rzeką złotem płynącą jest łagodnością przedmierzchowych godzin bujną zielonością wzgórz jest chlebem łanami wschodzącym jest kroplą rosy dla spragnionych ust — jest strugą potu spływającą po nagiej skórze pleców kłębem dławiącego pyłu bieżem ognia wysychaniem żył pod niebem pustyni bładym widmem śmierci bezdomnych uchodźców a gdy Wietnameczyk wznosi oczy do słońca słońce wita go eksplozją bomb — dla Ziemi świeci słońce tysiące



Rys. J. SIENKIEWICZ

Marian Janiga

Zapomniany artysta

Każdy kto odwiedzi Muzeum Regionalne w Gorlicach zwróci uwagę na pełne ekspresji i często ukrytej symboliki rzeźby Antoniego Hybla z Ropy w powiecie gorlickim. Niewiele jednak można o nim powiedzieć po blisko 25 latach od chwili jego śmierci. Przynajmniej „pył historii” zacieśnia stopniowo po nim ślad. Odechdzą ludzie, którzy go znali osobiście i którzy mogą jeszcze udzielić o nim informacji.

Aby uchronić od zapomnienia tę interesującą osobowość twórczą, postanowiłem zebrać dostępne jeszcze o nim informacje oraz dokonać wstępnego spisu pozostawionych dzieł.

Można toczyć spór, czy Antoni Hybel to twórca ludowy, czy akademicki? A może coś pośredniego. Samo nazwisko może być przyczyną sporu. Spotkałem bowiem w księdze inwentarzowej Muzeum Regionalnego w Gorlicach zniekształcone nazwisko artysty brzmiące Hebel. Nie udało mi się natrafić na pełny podpis rzeźbiarza na którymkolwiek z jego dzieł. W czasopiśmie przedwojennych informujących o pracach artysty znajdujemy poprawną pisownię nazwiska — Hybel. O poprawności przekonały mnie rozmowy przeprowadzone z ludźmi, którzy go dobrze znali (p. Pisarczyk i p. Klehr z Ropy). Muzeum Regionalne w Gorlicach nie posiada żadnych informacji o rzeźbiarzu. Nie udało mi się ustalić daty jego urodzin. Zmarł 21 III 1945 roku w Ropie i tam też jest pochowany.

Ilustrowany Kurjer Codzienny, ukazujący się w Krakowie zamieścił we wtorek 1 kwietnia 1924 roku w numerze 91 na str. 8 następującą notatkę:

skrzypiec, która każdego skrzypka zainteresuje. Nowe skrzypce różnią się co do budowy przez odjęcie prawego boku skrzypiec, nowa forma równa się dużej literze „P” i umożliwia łatwe i czyste dojście do najwyższych pozycji; gdy się grało przez dłuższy czas na skrzypcach formy ogólnie znanej, bolała lewa ręka przez wykręcanie jej ponad skrzypce. Najważniejszym czynnikiem, nadającym nowym skrzypcom miękkość i pełność tonów, jako też siłę i równość dźwięku na wszystkich strunach oraz harmonię czystą, doprowadzoną do najwyższych tonów przy uderzeniu paleczką, jest nowa odrębna dusza, wynaleziona przez tegoż artystę. Zalety powyższe przewyższają wszystkie oryginalne skrzypce koncertowe mistrzów, takich jak Stradivarius, Amati, Stemer itd. Grając przez kilka dni na skrzypcach z nową „duszą” pociągnęły mnie powyższe zalety, tak że lęknij w sposób nieokreślony za tą „Polską Duszą”, jak ochrzcił artysta nowe skrzypce. Muzycy niecierpliwie czekają na opatentowanie nowych skrzypiec o „duszy polskiej”.



ANTONI HYBEL — rzeźba w drzewie lipowym „Co ja winna?”

We wspomnianym numerze czasopisma „Świat i Prawda” znajdujemy zdjęcie Antoniego Hybla z żoną oraz kilka zdjęć jego rzeźb z wystawy w Berlinie i Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie w roku 1924. Obok zdjęć podany jest krótki życiorys, który cytuję.

„Nazwisko obecne Hybel nie jest rodowym, bowiem ojciec jego pochodził z rodu Wileczyńskich, a nazywał się Stawiński. Przydomek Hybla otrzymał jeszcze jego pradziadek, który jako zamożny obywatel oddawał się z zamiłowaniem stolarstwu. Antoni jest synem Wawrzyńca i Marceliny Stawińskich, rodziny mieszczańskiej, ur. w Przemyślu, pow. limanowski, woj. krakowski. Aby móc Antoniego posyłać do szkół przezniesili się rodzice do Nowego Sącza. Szkoły tamtejsze kończył on ze znakomitym postępem. Ponie-

waż był jednak wężego zdrowia, lekarze odradzali mu forsownego umysłowego kształcenia się, również i niedostatek wkraśl się w dom. Dlatego Antoni pomagał ojcu w stolarstwie, oddając się w wolnych chwilach rysunkom i rzeźbie, wieczory zaś poświęcał muzyce. Antoni samokształcił się. Szukał i wyszukiwał każdą sposobność, by coraz więcej poznać jako sztukę, którą ukochał. Już jako mały chłopiec zapragnął zbudować skrzypce nie takie jakie widział u swego nauczyciela, u którego pobierał lekcje. On chciał zbudować skrzypce, które jak stwierdza „mówiłyby nieznanymi szeptami i jękami boru; które by i brzęk szubijającej pszczoły i trzopot skrzydeł motyla i świergot ptasząt i słowicze trele z wnętrza swego dobyły”.

Przebywał także przez 5 lat u swojego wujka Lorka; tam poznał rzeźbę kościelną, ziocenie, polichromię, malarstwo itd. Po tej praktyce wyjechał „w świat”, jako uzdolniony już artysta. Pracując w różnych wielkich zakładach rzeźbiarskich, studiując poważne dzieła, zapragnął osiągnąć również umiejętność rzeźby w kamieniu, co uzyskał u Włocha Pesicza. Jeździł jako student nadzwyczajny do Krakowa, Pragi i Wiednia. W Krakowie dyrektor Akademii Sztuk Pięknych Fałat zachwycał się jego nadzwyczajną techniką i talentem. Zachęcał go, aby tworzył jak najwięcej kompozycji własnych.

Radono mu, by drogą dobrego ożenku posiadał fundusze umożliwiające mu wyjazd za granicę, tak celem osiągnięcia zawodowej perfekcji, jak i by dać się poznać wielkiemu artystycznemu światu. Nie skorzystał z tych propozycji. Ożenił się — ubogą dziewczyną i osiadł w Ropie. Był człowiekiem skromnym i bojaźliwym. Nie miał odwagi, aby kogoś powiadomić o swoim wynalazku w dziedzinie skrzypiec. Wreszcie zmuszony przez znajomych dał skromną notatkę w Ilustrowanym Kurjerze Codziennym. Na skutek tego zaciekawiony muzyk Arnold Kozieł przyjechał do Ropy, a co zastał sam najlepiej opisał. Oprócz tego artysty muzyka nikt się więcej nie zjawiał.

„Dziwny to kraj i naród — posze dziennikarz Zenon Gastowski we wspomnianym numerze „Świat i Prawda” — ta Polska i Polacy. Gdyby taki wiekopomny wynalazek skonstruował Niemiec, Amerykanin, Włoch, Francuz czy Anglik, świat cały wiedziałby o nim. Cała prasa danego kraju huczałaby o twórcę, a twórca byłby już dawno milionerem. U nas najwyższy nawet geniusz umrzeć może nieznanym i w nędzy. My nie mamy czasu zajmować się twórczością ducha, choć pono nie jesteśmy materialistami. Marne ambicji, gonitwa za świętością szychową zabiera nam czas najzupełniej”.

Nie miał chyba racji ów dziennikarz obarczając za istniejące stosunki w Polsce sanacyjnej cały naród. Nie doczekał jednak, tak jak Nikifor, Ociepka i inni Antoni Hybel nowej sytuacji społeczno-politycznej. Zmarł na samym początku narodzin Polski Ludowej, która z takim pietyz-



ANTONI HYBEL — „Wspólne cierpienie”

mem otoczyła sztukę ludową i jej twórców.

Wśród licznych prac inwentaryzatorskich nad zabytkami i twórcami ludowymi zapomniano o Antonim Hyblu. Część jego prac zgromadził Alfred Waclawski w Muzeum Regionalnym w Gorlicach. Pozostałe niszczyły w wielu domach w Ropie rzucone jak „rupiecie” na strych lub do szopy. Opowiadał mi ostatnio jak to dorastający chłopcy zabawiają się tymi rzeźbami. Oto nocą położyli na gościńcu popiersie gipsowe kobiety, aby nastraszyć klerowców. Wreszcie nadjechał jakiś długo oczekiwany samochód. Chłopcy z ukrycia obserwują jak kierowca zdenerwowany bierze żelazny łom i rozbija w kawałki rzeźbę.

W Muzeum Regionalnym w Gorlicach znajduje się 12 rzeźb tego artysty oraz 1 obraz. Porozrzucanych i niszczących obrazów i rzeźb tego artysty jest jeszcze w Ropie ponad 40. Czekają na odkrywcę.

Maria Cecylia Guziolek
Pod patronatem Związku
Kompozytorów Polskich

„U ARTURA” po raz pierwszy

— Stworzenie tylko muzeum kompozytora w tradycyjnym pojęciu sprzeczne byłoby z życiem i postawą znakomitego przemysłanina. Dlatego tworząc placówkę, pragnę, by była ona miejscem realizacji artystycznego testamentu Artura Malawskiego m. in. przez popularyzowanie muzyki nowej. Tak więc Archiwum Artura Malawskiego będzie:

— gromadziło pamiętki po kompozytorze, który był równie znakomitym pedagogiem i dyrygentem,

— popularyzowało Jego dzieło muzyczne, organizując koncerty muzyki żywej i z taśm,

ki polskiej i jej popularyzatorowi na arenie międzynarodowej. Malawski m. in. pełnił w swoim czasie funkcję przewodniczącego sekcji polskiej Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej. ZKP patronatem nie tylko doda splendoru działalności Archiwum Artura Malawskiego, ale będzie współorganizatorem dwóch koncertów w czasie sezonu artystycznego, do pomóż do pełnego skompletowania m. in. taśmy z nagraniami utworów Artura Malawskiego itd.



Fot. JANUSZ MENDYCHOWSKI

— stanie się ogniskiem krzewienia kultury muzycznej przez odczyty, dyskusje i koncerty małych form muzycznych współczesnych kompozytorów Polski, organizowane co miesiąc jako wieczory „U Artura”. — pisałam we wstępie do katalogu pierwszej ekspozycji, utworzonego w muzeum przemyskim Archiwum Artura Malawskiego.

Od tego czasu upłynęło ponad pół roku i... melomani spotkali się (w piątek 21 bm.) na pierwszym wieczorze „U Artura”.

Jak na inaugurację wypadło, koncertowi temu nadano bardzo uroczysty charakter, bo przecież to i niemałe wydarzenie artystyczne! Zabytkowy, tysiącletni Przemysł będzie mecenasem nowoczesności w muzyce. Sprawa trochę bez precedensu, by miasto nie posiadające własnego środowiska muzyków-kompozytorów popularyzowało najnowsze prądy w muzyce.

Ambicjom władz, środowiska artystycznego i muzycznego Przemysła w tym nowatorskim przedsięwzięciu wyszedł naprzeciw Związek Kompozytorów Polskich. Na prośbę Rady Artystycznej Archiwum Artura Malawskiego i dyrekcji Muzeum Ziemi Przemyskiej objął on patronat nad placówką poświęconą znakomitemu twórcy muzy-

Inauguracyjny wieczór „U Artura” zaszczylił przedstawiciel patrona — kompozytor Andrzej Dobrowolski, wychowanek Artura Malawskiego, dziś profesor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie.

Koncert miał charakter monograficzny. Wykonane zostały wyłącznie utwory wokalne i kameralne Artura Malawskiego. W pierwszej części zabrzmiały rzadko dziś wykonywane pieśni. Śpiewała Zofia Stachurska, pierwsza ich interpretatorka. Z niemałym wzruszeniem wysłuchali melomani zajmujący do ostatniego miejsca aulę szkół muzycznych — pieśń „Do Matki” (słowa Juliusza Słowackiego) i piękną, ogromnie dramatyczną „Nike z Cheronai” (tekst Magierskiego), napisaną w ostatnich dniach wojny. Trzema pieśniami dziecięcymi, które wymagają niezwykłego kunsztu śpiewającego i są przykładem pogodnego dowcipu i beztróskiego u- sposobienia kompozytora zamknięto część wokalną wieczoru. Znakomitej Zofii Stachurskiej akompaniował pianista Alfred Müller. Pieśni przepięknie listy Artura Malawskiego do Matki, która — jak pamiętamy — po-

(Ciąg dalszy na str. 7)

Dwaj żołnierze o zmierzchu

(Ciąg dalszy ze str. 1)

puścić hitlerowców z południa w stronę Berlina. Nasz udział w walkach o Berlin, mimo że byliśmy daleko na południu, niewątpliwie był wielki.

Pamiętam tę chwilę, gdy świat zawirował na wiadomość o zakończeniu wojny. Ty z pewnością podskoczyłeś z radości na łóżku polowego szpitala! A myśmy strzelali ze wszystkich broni na wiwat! Krzyčeliśmy z entuzjazmem! Starym wiarusom lży ciekły po szarych policzkach. I widziałem młodego żołnierza, który w kilka godzin później, po ogłoszeniu zwycięstwa, padł na ziemię uderzony serią karabinu hitlerowca, ukrytego na dzwonnicy wiejskiego kościółka.

Powiem ci, że w ogniu walk udało mi się wyrobić w sobie trochę tego hartu, jakiego wymaga się od dowódców. Potrafiłem zachować równowagę psychiczną wobec największej masakry. Bez

drgnięcia powieki patrzyłem na śmierć ludzi mi drogich. Widziałem ciała zmasakrowanych polskich żołnierzy, którzy dostali się do niewoli. Ich wybite bagnetem oczy. Rozdarłe nożem brzuchy. Odcięte toporem ręce. Widziałem szczątki zwłok Polaków, żywcem spalonych przez pijanych esesmanów. Bestialstwo wroga było nam wiadome. Ale wtedy, gdy ten chłopak zginął, gdy każdy się cieszył, gdy w dalekim domu radowała się jego matka, a może i jego dziewczyna, coś się we mnie załamało. Wzruszenie cisnęło mnie za gardło. Wtedy zrozumiałem, że chyba przestaję być dowódcą, skoro śmierć mnie wzrusza.

Przysłuchuję się, moi drodzy, waszym żołnierskim opowieściom i staram się wyobraźnią cofnąć do tamtych lat. Gdy wście u mierali w okopach nad Nysą i Odrą, moje pokolenie siedziało w

szkolnych pulpitych. Słuchano na tapczanie radiowych komunikatów. Zaś później witaliśmy was, ocalałych i szczęśliwych, na rynkach małych miast. Dla mojej córki to już historia. Odległa historia, która wskoczyła na karty czytanek. Teraźniejszość ucieka do przodu w pośpiesznym galopie, przeszłość zadyszana drepcze w mrokach pamięci.

Was, świadków wojny, coraz mniej wśród żywych. Zanim tu przyszedłem, w reporterskim notiesie zapisałem: Tadeusz Słusarz, pracuje w rzeszowskim ZURIT, gdzie naprawiają telewizory. Żołnierz Świerczewskiego. Mikołaj Bułaty, zatrudniony w przedsiębiorstwie transportowym. Były szef sztabu batalionu walczącego nad Nysą. To wszystko.

Dobrze czasem o zmierzchu spotkać się przy kawie, posłuchać ludzi wojny, aby lepiej rozumieć ten świat. Bardziej kochać życie w pokoju.

STANISŁAW RAMS

Justyna Woś

„Rzeszowskie zaprasza”



Fot. M. KOPEĆ

Ziemia rzeszowska osiągnęła bliskotliwą karierę jako region turystyczny. Co do tego kontrowersje nie istnieją. Są jedynie małe nieporozumienia w dziedzinie określenia granicy czasowej masowego zainteresowania tą częścią Polski.

Najnowsze dzieje turystycznego powodzenia bardzo często zacieśniają się i utożsamiają się z modą na Bieszczady. Zapanowała ona — jak twierdzą niektórzy — od 1953 roku, historycznej daty wymarszu ekipy PTTK z siekierami, aby przereździć

kich ludzi oświecenia, Stanisław Staszic, który dwukrotnie zawiązał na ziemi dzisiejszej Rzeszowszczyzny; goniony pasją krajoznawczą, odbywał wędrowki konno, dyliżansem, a nawet pieszo. W swoim dzienniku odnotował trasę, wspominał odwiedzone miejscowości, m. in. Przemyśl, Krasieczyn, Dubiecko, Dynów, Dómaradz, Duklę.

Moment krajoznawczy szczególnie mocno eksponowali romantycy. w literackim programie sięgającym do motywów folkloru, przyrody i historycznej przeszłości. Zarówno u Pola, jak u Goszczyńskiego i Fredry reminiscencje z krajoznawczych wypraw w głąb Galicji stawały się kanwą dla literackiego utworu. Romantyczny kult i pietyzm do przeszłości ściągał uwagę na ruiny zamków, jako skarbców narodowej kultury, miał zresztą w tym czasie podłoże patriotyczne.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wyznaczenie „literackiego szlaku” ściągało rzesze na pasjonujące wyprawy. Obok więc wyjazdów — powiedzmy zawodowych (literackich, naukowych) coraz częściej pociągala zwolenników wędrowka dla osobistej satysfakcji, poznania, emocji i odpoczynku. Zrodził się ruch określony turystyką.

Konfrontacje

Wspomnieliśmy na początku, że współczesna turystyka na Rzeszowszczyźnie — jako masowy ruch rozwinęła się późno, bo okragło przyjmując — w latach pięćdziesiątych. Równocześnie pamiętamy, że objawiła się jak dynamicznie rozrastające się zjawisko. Stało się tak, bo właśnie w Bieszczadach mogła odświeżyć się romantyczna koncepcja turystyki — polegająca na szukaniu niezwykłości folkloru, ponętnej egzotyki, uchronionej przed postępową cywilizacją. Tu na obszarze około 1000 km² gór, prawie przez dziesięć lat po wojnie przyroda miała czas, aby wrócić do pierwotnego stanu; zarosły krzewami i zdziczały pogorzelska po dawniej istniejących wioskach, chwasty zamaskowały ślady ludzkiego życia.

Z jednej strony naturalne warunki, z drugiej miejsca historycznych wydarzeń i męczeństwa narodu polskiego stały się jednym z poważniejszych atutów przyciągających ludzi mimo braku bazy. I chociaż brzmi to paradoksalnie — ale turystyka zaczęła kształtować najnowszą historię tej ziemi, aktywizować ten osobiwy zakątek Polski. Ruch turystów zdopinguwał osadników. Bieszczady zaczęły się zaludniać.

Istnieje postanowienie w umowach zawieranych między osadnikami a Bankiem Rolnym, które pozwala na zwiększenie kredytu i w razie, gdy gospodarz podejmie się, że przynajmniej jedną z izb przeznaczy na potrzeby turystyki.

Jest to posunięcie słuszne zważywszy, jakim ciągle dużym problemem jest sprawa noclegów i gastronomii.

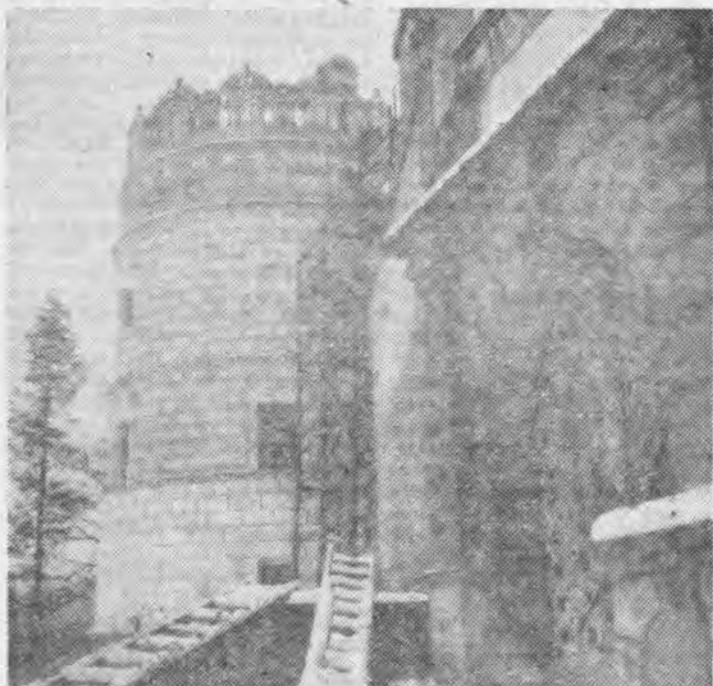
Po tej dygresji, wracając do istoty turystyki, trzeba powiedzieć, iż ruch ten zmierza do wyławiania elementów mających swe źródło w historii Polski, łącząc przeszłość z ważnymi, aktualnymi wydarzeniami żyjącego społeczeństwa. Pokazuje naturalne pomniki przyrody i wyniki gospodarczych przeobrażeń w postaci inwestycji przemysłowych, osiągnięć w zakresie budowy obiektów turystycznych, szlaków komunikacyjnych itp. Tak pojmowana turystyka znajduje szczególnie doniosłe ukiepunkowanie w bieżącym roku, srebrnego jubileuszu PRL. W porozumieniu z zakładami pracy i organizacjami społecznymi — PTTK przygotowuje szereg imprez pod hasłem „Rzeszowskie zaprasza”, kładąc nacisk, aby w centrum turystycznego zainteresowania były nie tylko atrakcyjne Bieszczady i wytworny Łańcut, ale wiele innych ciekawych zakątków, przytłoczonych renomą i wielkością wspomnianych.

Mamy przecież 2146 historycznych zabytków, w tym najwyższej klasy 0, I, II — aż 334, które mogą stanowić niezwykle interesujący „szlak zamków”. Równie dużych emocji i wrażeń poznawczych dostarcza wędrowka trasą Nadsania: Przemyśl, Radymno, Jarosław, Sieniawa, Leżajsk, Rudnik, Ulanów — aż po Sandomierz. Tylko wokół Leżajska znajdują się aż trzy niepowtarzalne osobliwości: rezerwat azalii pontyjskiej w Woli Zarczyckiej, rezerwat modrzewi w Brzozie Królewskiej, a w samym mieście zabytkowy klasztor z drugim co do wielkości w Polsce (po Oliwie) organami. Pamiętać musimy, że rangę turystyczną podnoszą także przemiany przemysłowe — uwalniające Rzeszowszczyznę z kompleksu zacofania Galicji. Na północy kombinat siarki i sieć innych wielkich zakładów, znana w świecie Huta Szkła w Krośnie, „Bieszczadzkie morze” o powierzchni 22 km kw. i w końcu to, co wydaje się w tej chwili proste i oczywiste: szlaki komunikacyjne. Dziś już nie zastanawiamy się jadąc np. obwodnicą bieszczadzką, że każdy kilometr tej 160-kilometrowej trasy budowany przez śląską jednostkę KBW, kosztował 1 mln 300 tysięcy złotych.

Szanse turystycznego wykorzystania naturalnych walorów Bieszczadów, Beskidu Niskiego i jeszcze stosunkowo mało znanego, a troczonego Roztocza — są ogromne. Ciągłe się mówi, że ruch turystyczny byłby większy i odważniejszy, gdyby istniała odpowiednia baza. Sprawa oczywista, ale nie jest to kwestia do rozwiązania w ciągu dwóch, trzech, pięciu lat. Z perspektywy czasu osiągnięcia są jednak widoczne.

W 1960 r. województwo odwiedziło 508 tys. turystów, w 1967 r. liczba ta wzrosła do 1 680 000 (wzrost o 33 proc.). W tym czasie pięciokrotnie powiększyła się baza noclegowa, wzrosła sieć placówek gastronomicznych. Wszystko to jeszcze mało w obliczu potrzeb i perspektywicznej prognozy zakładającej, że do 1985 roku liczba turystów osiągnie granice 10 — 12 milionów.

Doceniając ważkość turystycznych bolączek zdecydowane stanowisko w tej sprawie zajęła Egzekutywa KW PZPR jeszcze w 1962 roku. Turystyka w Rzeszowskim spotkała się więc z poparciem władz; przygotowano plany rozwoju i zagospodarowania turystycznego regionu. Hasło „Rzeszowskie zaprasza” oferuje dziś już nie tylko uroki natury. Realizacja planów i aktualne stadium ich zaawansowania w rzeczywistości — to problem do oddzielnego już artykułu.



KRASIECZYN

Fot. M. KOPEĆ

bieszczadzką dżunglę i wyznaczyć pierwsze ścieżki dla turystycznego szlaku. W rok potem zaczęła się historia „petli”, a w 1958 r., gdy jeszcze nie było skończonej drogi, pofatygowali się naukowcy i przedstawiciele Komitetu do Zagospodarowania Ziemi Górskich, Komisji Planowania, Komitetu Gospodarki Wodnej PAN i władz wojewódzkich. Dzisiaj po dziesięciu latach efekty tej „wędrującej nary” są wszystkim znane. Ukończona w 1962 roku obwodnica otwarła drogę wielkiej inwazji.

Atrakcyjność Rzeszowskiego — to jednak nie tylko Bieszczady.

Kartki z historii

Pozostało szereg dokumentów z przeszłości, na których podstawie możemy odtworzyć krzyżujące się szlaki pierwszych turystów po naszej ziemi. Ich peregrynacje miały na celu poznanie regionu i folkloru, uroków natury, przyrody — zawierały więc w sobie to, co jest jednym z podstawowych założeń współcześnie rozumianej turystyki. Tak postępował jeden z wiel-

Romantyczne koncepcje poznania folkloru i pamiątek przeszłości — Goszczyńskiego, krajoznawcze zapęły Pola i wcześniejsze racjonalne badania Staszica — złożyły się na harmonogram działalności PTT (Polskiego Towarzystwa Tatrzańskie) założonego w 1873 r. w Galicji. W kilkanaście lat później (1906 r.) zaczął rozwijać się świadomy, ściśle krajoznawczy ruch zorganizowany przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Te dwa nurty przetrwały w okresie międzywojennym i na Rzeszowszczyźnie. W zasadzie PTT obejmowały tylko Przemyśl i Gorlice. Większą działalność prowadziła zaś PTK — mając swoje koła w Rzeszowie, Sanoku, Jarosławiu, Przemyślu, Krośnie itd. Po drugiej wojnie początkowo nie mogły wyznaczyć sobie kierunku działania. Dopiero integracja dwóch organizacji PTT i PTK w 1950 roku może zespalać siły w kierowaniu ruchu turystycznego. Utworzenie PTTK szczególnie korzystnie oddziaływało na rozwój turystyki w Rzeszowskim, regionie zaczynającym prawie od zera. Powstają stacje w Bartnem, Kątach i Hańczowej, a w 1955 roku pierwsze schronisko z prawdziwego zdarzenia na Magurze Małastowskiej...

Kalman Segal Kłopoty z felietonem

Napisałem felieton o tym, jak ciężko być człowiekiem. Poparłem to twierdzenie własnymi doświadczeniami i przykładami z mojej biografii.

Redaktor działu przeczytał maszynopis i powiedział, że nie nadaje się, bo nie jest prawdziwy. Wysypał z rękawa mnóstwo pięknych cytatów, z których wynika, że życie ludzkie to wdechowa rzecz, wielu znakomitych poetów i prozatorów wielokrotnie stwierdziło, że być człowiekiem to zaszczyt i przyjemność.

Te argumenty przekonały mnie. Zabrałem się do pracy i napisałem drugi felieton, z którego wynikało, że być człowiekiem to absolutne szczęście. I tym razem również poparłem moje twierdzenie wieloma własnymi doświadczeniami, a także przykładami z życia wybitnych ludzi.

Mój przełożony przeczytał felieton kilka razy popatrzył na mnie podejrzliwie i zapytał, czy nie jestem chorey i czy nie cierpię na jakiegoś zaburzenia nerwowe. Dał mi w ten sposób do zrozumienia, że felieton mu nie odpowiada, że jest w nim za dużo przesady i blagi. I w ogóle, że jest nieprawdziwy.

Poszedłem do domu i napisałem trzeci felieton — o cudownym dziecku, które narodziło się z dwiema głowami. Podkreśliłem intelektualne korzyści, jakich można się spodziewać po takim wydarzeniu — bo przecież to jasne, że co dwie głowy, to nie jedna.

Tym razem redaktor działu odniósł się do mojego utworu wyrozumiale. Przypadek wcale nie wydał mu się nieprawdziwy. Felieton zostanie wydrukowany w specjalnym jubileuszowym numerze z okazji 50-lecia mojej pracy literackiej.

„Uśmiech Warszawy” w USA

W ośrodkach polonijnych USA występuje z powodzeniem zespół estradowy „Uśmiech Warszawy”, w którego skład wchodzi: Halina Kunicka, Janina Jaroszyńska, Antoni Jaksztas, Paulos Raptis, Wiktor Smigielski i Marian Załucki. Pierwszy występ, uwieńczony sukcesem, odbył się w Gary (stan Indiana), a następnie cztery w Chicago; wszystkie — przy wypełnionej widowni. Publiczność reagowała żywo i spontanicznie na poszczególne numery programu.

Zespół przyjmowany jest niezwykle serdecznie przez Polonię chicagowską. Pierwszy występ w Gary został sfilmowany przez kierownika miejscowego polonijnego programu telewizyjnego Z. Kwiatkowskiego i będzie transmitowany przez jego stację.

Olimpijski finał

Ponad 5 tysięcy młodzieży szkolnej w mieście i powiecie przemyskim wzięło udział w X Olimpiadzie Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym. W wyniku szkolnych i rejonowych eliminacji pisemnych, 6 drużyn spotka się w finale rejonowym, który rozegrany zostanie w niedzielę 30 bm. o godz. 18 w sali widowiskowej Przemyskiego Domu Kultury. Oprócz „olimpijczyków” na estradzie wystąpi zespół estradowy „Zielone Mundury” oraz żeński zespół wokalny MDK — „Pastele”.

Warto przypomnieć, że w ubiegłym roku zwycięzcami finału rejonowego Olimpiady Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym zostali reprezentanci I Liceum Ogólnokształcącego w Przemyślu (w pionie szkół ogólnokształcących i techników) i Szkoły Przesposobienia Rolniczego w Bachórcu (w pionie zasadniczych szkół zawodowych). Ciekawe, czy w niedzielę powtórzą swój ubiegłoroczny sukces...

- Błędna, ale murowana
- echa powstania 1831 roku,
- mistrzowie urodzaju,
- ekspansja srebrnego ekranu,
- turystyczne perspektywy.

Zbigniew Wawzczak

Ludzie z Rosielnej

Przysiółek nazywa się Błędna. Pejzaż podgórski, część domów uciepiona białego o tej porze, bezleśnego stoku, reszta schowana w głębokiej kotlinie, zamkniętej na horyzoncie pasmem szczytów z dominującym nad nimi masztem stacji telewizyjnej na Suchoj Górze. Stare, drewniane domostwa sąsiadują w Błędnej z nowymi, czerwieniąjącymi niedawno wypaloną cegłą. Tu i ówdzie widać dopiero co rozpoczętą budowę, gdzie indziej zaawansowane do niej przygotowania. Wieś się buduje. Ludzie ciulają groź do grosza, oszczędzają latami, zaciągają pożyczki w kasie spółdzielczej. Wieś stara się wykorzystać szansę, jaką stworzyła jej nasze czasy, wykorzystać atuty, jakie dano jej do ręki.

Ułatwia te przedsięwzięcia większa z każdym rokiem ilość osób, zatrudnionych poza rolnictwem. Tak jest również w Jasienicy Rosielnej, dużej wsi, położonej w powiecie brzozowskim. Właśnie do tej wsi należy przysiółek Błędna, w którym się znalazłem. Towarzyszący mi agronom, Stanisław Kwolek, młody mężczyzna, który niedawno ukończył Technikum Rolnicze w Dzikowie, opowiada mi o zachodzących na wsi przemianach.

Większość nowych domów w Jasienicy jest zaopatrzona w łazienki, bieżącą wodę. Doprowadza się ją za pomocą hydroforów lub też wykorzystuje położone na wzgórzach źródełka. W tej chwili liczący kilkanaście domów przysiółek Czarna Góra przygotowuje się do budowy wspólnego ujęcia, dzięki któremu, wykorzystując różnice poziomów, woda docierać będzie do mieszkań.

A może zobaczylibyśmy któryś z tych nowych domów z łazienkami? — proponuję.

Agronom prowadzi mnie do niewielkiego, murowanego domku. To jeden spośród trzydziestu, który w Jasienicy Rosielnej liczącej ponad czterysta domów, wyposażony jest w bieżącą wodę. Na progu wita nas krzepka i wesoła starsza kobieta. Babcia przywołuje córkę. Pokazują nam łazienkę z wc i małą wanną. Gospodarza, który pracuje w spółdzielni usługowo-wytwórczej, nie ma o tej porze w domu. Zona prowadzi nas jeszcze do obory, gdzie stoją krowy z nowo wprowadzonej w tych stronach rasy siemenałskiej, przekręca kurki z ciepłą i zimną wodą, na koniec nie bez dumy prezentuje silos z napęczoną kiszonką.

Teraz dopiero do głosu do-

chodzi Babcia, sześćdziesięcioletnia Aniela Krupa. Pomaga córce w gospodarce i bardzo sobie chwali udogodnienia domowe, zwłaszcza bieżącą wodę. Nie obeszło się bez wspominków z dawnych lat. Więc o młocce, która ciągnęła się długo („i dwa miesiące trzeba było za mojej młodości cepami bić!”), a także o ciężkim wozie kupieckim, wyładowanym solą, który utonął niedaleko stąd, w grzędawisku. Było to bardzo dawno, opowiadał o tym dziadek. Opowieść ta wydaje się być wiarygodna, Jasienica Rosielna leży na starym szlaku handlowym, wiodącym od sąsiedniego Domaradza ku Przełęczy Dukielskiej, a dowód rzeczowy w postaci grzędawiska można obejrzeć i dzisiaj.

Za dawnych czasów, kiedy rosły tu jeszcze ogromne lasy — Babcia tłumaczy nam genezę nazwy przysiółka — zapuścił się w te strony jakiś hrabia. Ale drogę zgubił, zaczął się błąkać pomiędzy pagórkami i ani rusz nie mógł trafić do dworu. I nazwali to miejsce Błędna. Ale dziś już tutaj zabłądzić trudno — śmieje się Babcia.

W zasięgu srebrnego ekranu...

Stawiamy na podniesienie rolnictwa — wtajemnicza mnie w gospodarce zagadnienia Jasienicy przewodniczący GRN, pełniący tę funkcję od jedenaśmiu lat, Edward Fiejdasz. — Mamy co prawda nie najgorsze wyniki, stawiające nas w rzędzie produjących gromad powiatu brzozowskiego (wydajność czterech zbóż — 22,6 kwintala, zużycie nawozów sztucznych 96 kg, w tym roku chcemy osiągnąć 150 kg!) Ale mamy też poważne kłopoty, obok wzorowych gospodarstw — blisko sto zaniedbanych, prowadzonych przez ludzi starych, niedołężnych. I z tym fantem trzeba coś zrobić! Dynamicznie rozwija się nasze kółko rolnicze, w ubiegłym roku zorganizowano przy nim spółdzielnię usługowo-wytwórczą. Ta rozbudowuje własną cegielnię, aby zaspokoić rosnące zapotrzebowanie na ceramiczne materiały budowlane. A w ogóle Jasienica ma szczęście do spółdzielni, działa tu oddziały spółdzielni mleczarskiej, ogrodniczo-pszczelarskiej, spółdzielni zdrowia oraz inwalidów. W sumie w spółdzielniach i instytucjach (GRN, apteka, poczta)

znalazło zatrudnienie prawie trzysta osób, a więc jak pan widać, liczba nie mała! Poza tym ludzie dojeżdżają do pracy w Brzozowie, Krośnie, Sanoku. Stąd też — stały dopływ gotówki i nowe domy, telewizory, pralki, motory.

W ubiegłym roku — wtrąca się agronom — prowadziłem w Jasienicy eksperymentalny kiermasz sprzedaży telewizorów. Impreza bardzo się udała, mieszkańcy mogli sobie na miejscu obejrzeć aparaty. Zakupiono ponad 40 telewizorów. Z racji bliskości stacji przekątnikowej odbiór jest tak dobry, że nie potrzeba anten!

Napiera więc na Jasienicę współczesna cywilizacja: czterdzieści telewizorów w jednej wsi — to niebagatela! Także za pośrednictwem srebrnego ekranu prowadzona jest batalia o unowocześnienie gospodarki, o stosowanie nowoczesnych zabiegów agrotechnicznych...

...kraj ludzi kształcących się!

Chyba nigdy dotąd nie przekonałem się równie wyraźnie o prawdziwości powyższego hasła, jak w czasie wędrowki po Jasienicy. Nieomal z każdego domu, do którego sprowadziliśmy nas takie czy inne sprawy, ktoś się uczy, studiuje. W gabinecie przewodniczącego GRN zwrócił moją uwagę obraz, przedstawiający pałac w Łazienkach. Dowiedziałem się, że jest to dzieło jednej z tutejszych gospodyń — Anny Kuźniar.

Panią Annę zastaliśmy przy praniu. Wyłączyła na chwilę pralkę, aby z nami porozmawiać. Maluje coraz mniej, bo nie ma czasu. Właściwie, to głównie kopiuje ze zdjęć, reprodukcji. Widziałem w jej domu olejną kopię jakiegoś starego oleodruku, przedstawiającego królową Jadwigę. Czy znajduje nabywców ta „niedzielna” twórczość? Owszem, czasem zamawia jakiś pejzaż ze „starego” kraju gość z Ameryki, czasami także z sąsiadów czy znajomych. Raczej niewiele tego, ale czy to nie symptomatyczny wyraz określonych potrzeb?

Syn pani Anny ukończył politechnikę, jedna z córek jest studentką identycznej uczelni, najmłodsza robi zaocznie maturę. W ubiegłym roku tylko dziewięć procent absolwentów szkoły podstawowej w Jasienicy nie poszło się dalej kształcić!

W powstańczych szeregach 1831 roku...

Władysław Pazdro, były kierownik ostatniego z dziedziców Jasienicy Rosielnej, Wysockiego, również wykształcił dzieci. Dwu jego synów ukończyło studia inżynierskie, córka jest pielęgniarką. Żadne z dzieci nie chce wracać na gospodarstwo, do nowego, murowanego domu. Tęta wyłania się już inny problem, gospodarstw bez następców...

Przebywając w jasienskim dworze, pan Władysław Pazdro słyszał niejedno o dawnych czasach. Od starego lokaja dowiedział się o niezwykłych kolejach życia jednego z wcześniejszych dziedziców Jasienicy, Józefa Henryka Bonawentury Załuskiego. Syn zamężnego, arystokratycznego rodu, Załuski kształcił się w Wiedniu, w słynnym Theresianum. Na ławie szkolnej zaprzyjaźnił się z późniejszym cesarzem, Franciszkiem Józefem I. Jako oficer bierze udział w kampanii napoleońskiej, później jest adiutantem cara Aleksandra I i jego następcy, Mikołaja I. Kiedy wybuchło powstanie 1831 roku, Załuski czując się Polakiem, staje w powstańczych szeregach. Po upadku insurekcji listopadowej, Józef Załuski znajduje schronienie w leżącej w zaborze austriackim Jasienicy. Bierze tutaj udział w życiu politycznym, w czasie pamiętnej „Wiosny Ludów” w 1848 r. zostaje komendantem Gwardii Narodowej w Galicji. Pożar rewolucji ogarnia Węgry, Mikołaj I wysłał swe wojska dla zdławienia węgierskiego powstania. W roku 1849 w czasie przemarszu interwencyjnych regimentów przez Galicję, były carski adiutant zostaje porwany, przewieziony do Warszawy i skazany na śmierć. I teraz przydała mu się znajomość z cesarzem austriackim: dzięki interwencji tego ostatniego, Załuski zostaje w ostatniej chwili uwolniony i wydalony do Galicji.

Załuscy, z rąk których Jasienica Rosielna przeszła drogą małżeństwa do Wysockich, pielęgnowali wielką tradycję swego rodu. We dworze jasienskim

znajdowały się popiersia przodków, m. in., jak utrzymuje pan Pazdro, słynnego biskupa, pisarza i polityka, Józefa Jędrzeja Załuskiego, założyciela i fundatora pierwszej w Polsce biblioteki publicznej, człowieka wielce dla kultury narodowej zasłużonego. Co się stało z tymi historycznymi pamiątkami, nie udało mi się ustalić. Wiele zabytkowych sprzętów, w tym stare karety, zniszczyły w latach pięćdziesiątych, wyrzucone na śmietnik przez administratora podworskiej resztówki, należącej wówczas do jakiegoś zakładu z Boguchwały...

Turystyczne perspektywy

Znany nam już nauczyciel, Józef Tabisz, członek Komitetu Gromadzkiego partii powiedział mi wprost: O ile w rozwoju gospodarczym notujemy niemałe sukcesy — to w kulturze jest znacznie gorzej. Przed wojną działał w Jasienicy zespół pieśni i tańca. Podejmowane parokrotnie próby jego rekonstrukcji — nie dały niestety, wyników. A gdyby tak wspólnymi siłami zaangażować specjalistę-instruktora z Brzozowa? Spółdzielni oraz instytucje Jasienicy mogłyby z powodzeniem taki wydatek sfinansować!

Jasienica zamierza budować dom kultury. Opodatkowano na ten cel każde gospodarstwo, jest już gotowa dokumentacja. W tym roku ma ruszyć budowa...

Przewodniczący GRN, Fiejdasz (ród to we wsi znany, pewna jej część nosi miano Fiejdaszów) mówił mi o planach turystycznego zagospodarowania Jasienicy Rosielnej. Ładne położenie w pobliżu ruchliwej trasy turystycznej (Rzeszów-Brzozów, Bieszczady), lasy, wzgórza, stawy, nowoczesna restauracja GS — wszystko to stanowić może o atrakcyjności Jasienicy. Niezbędne są jednak pewne inwestycje, trzeba uporządkować przetrzebiony park podworski, przygotować pole namiotowe, urządzić kąpielisko w jednym ze stawów. Pierwsi wczasowicze bawili w Jasienicy Rosielnej w ubiegłym roku. Podobno wyjechali zadowoleni.

Intrygowała mnie jeszcze sprawa owego przydomka — Rosielna. Eks-kierowca Pazdro mówił mi, że powstał on stosunkowo niedawno, bodaj w wyniku starań Wysockich, którzy chcieli uniknąć pomyłek, wynikających ze sporej liczby miejscowości o nazwie Jasienica. Wzięto więc przymiotnik „Rosielna” od nazwy przepływającej przez wieś rzeczki, w której liczni tu w dawnych czasach tkaczy „rosili” swe płótna

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

50 lat Biblioteki Narodowej „Ossolineum”

W tym roku mija 50 lat od ukazania się pierwszego tomu z serii „Biblioteki Narodowej” wydawnictwa „Ossolineum”. Były to „Treny” — Jana Kochanowskiego. Z okazji tego pięknego jubileuszu wznowione będą w br. w ówczesnej oryginalnej oprawie tomiki, które zapoczątkowały serię „Biblioteki Narodowej” przed pół wiekiem. Wszystkie tegoroczne tomiki tej biblioteki wyjdą w specjalnych obwolutach jubileuszowych, w tym 2 tomiki dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Stanisława Wyspiańskiego. Pierwszy tom zawierać będzie „Skalki” oraz „Bolesława Śmiałego”, drugi — „Wyzwolenie”.

Założycielom Biblioteki Narodowej przyswiecał ten sam cel, co i dzisiejszym kontynuatorom ich działalności — szerzenie wśród społeczeństwa rzetelnej i wszechstronnej znajomości lite-

ratury rodzimej i obcej oraz ukazywanie jej historycznego rozwoju, wciąganie zarazem czytelników w sferę jej wpływów dydaktycznych i wychowawczych. Przyjęto zasadę podawania tekstów oryginalnych, co stało się źródłem popularności i wysokiego autorytetu naukowego tej biblioteki. Ostatnio w pozycjach przekładowych wprowadza się cenne innowacje, polegające na równoległym drukowaniu tekstów w obu językach, ułatwiający konfrontację przekładu z oryginałem. W ten sposób wydano m. in. „Jeźdzka miedzianego” Aleksandra Puszkina.

Za pośrednictwem Biblioteki Narodowej dotarły do szerokiego kręgu czytelników rezultaty badań uczonych tej miary, co Aleksander Brückner, Tadeusz Sinko, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski, Stanisław Pigoń i in.

W ciągu 50 minionych lat ukazało się łącznie 360 tytułów, z czego w Polsce Ludowej 173 tytuły. W okresie półwiecza nakład Biblioteki Narodowej łącznie ze wznowieniami wyniósł ponad 4,5 mln egzemplarzy. Największą ilość wydań miały „Treny” i „Odprawa posłów greckich” Kochanowskiego, „Zemsta” Fredry, „Pan Tadeusz” i „Dziady” Mickiewicza oraz „Kordian” Słowackiego, a z literatury obcej — „Skapiec” Moliere’a, „Iliada” Homera oraz „Antygona” Sofoklesa. Od kilku lat ukazują się tomiki najnowszej poezji polskiej — Leopolda Staffa, Juliana Tuwima i Marii Jasnorskiej — Pawlikowskiej. W br. ukazały się tomiki poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego oraz Józefa Czechowicza.

W porównaniu z okresem

(Ciąg dalszy na str. 5)

Listy DO PRZYJACIELA

Długośmy z sobą nie rozmawiali — więc czym prędzej zaczynam od zapewnienia, że i mnie to nie sprawiło radości. Musi się gdzieś, komuś powiedzieć nie tylko miłe dzień dobry, ale sprawu jeszcze trochę, które są w środku człowieka i stanowią o jego spokoju bądź niepewności. Pisziesz mi, żeś czytał ostatnio Leona Schillera i Frycza, żeś połąknął w jeden wieczór 16 opowiadań Hrabala, żeś zajął ponownie do „Braci Karamazow”; pisziesz to, a ja wiem, że w podtekście tkwią dwa niedawne spektakle telewizyjne oraz to szczególne święto, jakim jest Międzynarodowy Dzień Teatru. Ze świadomością pewnie i Tobie odświeża ów przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy spadł na nas drapieżnie dramat Gorkiego „Na dzień”, spreparowany wtedy przez Teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach; jeden z pierw-

szych, które przyniosły sobą zaczerpanie teatrem na resztę lat. Wtedy podobało się wszystko; byliśmy z tych neofitów, którym obce wątpliwość w wartości, obce wszelkie wartościowanie. Braliśmy wszystko za dobre, byle mieć to dobre często, dużo i różne. Dopiero kiedyśmy natykali się teatru, kiedy nie sposób było pomieścić w jednym rzędzie Ibsena i Fredry, Brechta i Camusa — zaczęło się powolne smakowanie, próbowanie, właściwe rozpoznawanie. Nie szukało się już nazwisk na scenie nie oglądanych, ale, prawem kontrastu, sięgano się ponownie i z lubością właśnie po te znane, raz czy dwa widziane, by po raz trzeci wziąć je pod światło naszych własnych wyobrażeń o sztuce. Zaczął się ów długotrwały proces podglądania sposobów, manier, talentów. Prywatne szukanie ulubieńców, które wiodło swój rodowód pro-

JEDNA Z WIELU

W najbliższym czasie, w okresie inauguracji obchodów 25-lecia PRL w woj. rzeszowskim Liceum Ogólnokształcące w Jodłowej (pow. Jasło), otrzyma nowy gmach. W pełni na to zasługuje — jest jedną z najstarszych wiejskich szkół średnich, których tak wiele powstało na Rzeszowszczyźnie po II wojnie światowej. Jeszcze w okresie okupacji we wsiach Jodłowa i Lubcza działały ośrodki tajnego nauczania realizujące program gimnazjalny. Składano tu egzaminy maturalne. Kursy prowadzili profesorowie przesiedleni z Poznańskiego, m. in. prof. dr Jan Sajdak, były rektor Uniwersytetu Poznańskiego.

Już w styczniu 1945 roku, mimo iż na terenie powiatu jasielskiego trwały jeszcze działania wojenne, delegacja z Jodłowej na czele z nauczycielem mgr. Czesławem Wojewodą ruszyła do krakowskiego kuratorium z prośbą o zezwolenie na otwarcie we wsi gimnazjum. Uzyskała zgodę na utworzenie gimnazjum samorządowego, podległego gospodarzowi Zarządowi

Gminnemu w Jodłowej. Szkołę zlokalizowano w spalonym przez okupantów budynku mieszczącym w czasie wojny magazyny zbożowe. Po wojnie budynek przejęła gminna spółdzielnia SCh, a szybko zorganizowany Komitet Rodzicielski w ciągu 4 miesięcy odbudował i zaadaptował go własnymi siłami dla potrzeb gimnazjum.

We wrześniu 1945 r. rozpoczęło już w szkole naukę 143 uczniów w I, II, III i IV klasie. Wszyscy kontynuowali naukę rozpoczętą na tajnych kompletach. Uczyło wtedy w jodłowskim gimnazjum 12 nauczycieli (przedwojenni nauczyciele szkół średnich, nauczyciele szkół podstawowych, a nawet lekarz i prawnik). Pierwszym dyrektorem był Jan Broniec. Grono pedagogiczne otrzymywało wynagrodzenie w naturze, w płodach rolnych. Ponieważ od początku uczniowie nie mogli się pomieścić w budynku szkolnym w 1946 r. przywieziono stary barak Wehrmachtu z Koźla, i w nim

ulokowano część klas i pracowni. Barak służy jeszcze do dziś — mieści się w nim stolówka, 1 klasa i pracownia naukowa.

Na skutek dalszych starań społeczeństwa Jodłowej i okolicy oraz Rady Pedagogicznej gimnazjum z dniem 1 lutego 1947 r. zostało upaństwowione i kontynuowało pracę pod nowym szyldem — Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące im. Bartosza Głowackiego. Już wcześniej powstał Komitet Budowy nowego budynku szkoły (1945 r.), lecz jego wysiłki były przez całe lata daremne. Dopiero w 1968 roku rozpoczęto budowę nowego obiektu, który (już prawie ukończony) w pełni zaspokoi wszystkie potrzeby dydaktyczne, wychowawcze i socjalne uczniów.

W trudnych, pionierskich warunkach lokalowych i materialnych Liceum w Jodłowej wypuściło w świat do chwili obecnej 688 absolwentów: przy czym z samej Jodłowej 415. Różne były ich losy — jeden pracuje w Ambasadzie Polskiej w Moskwie,

inny jest wykładowcą w uczelni wojskowej, jedna z absolventek ukończyła uniwersytet w Moskwie, któraś znowu buduje w polskim zespole specjalistów zakład przemysłowy w Indiach. Zdecydowana większość obrała zawód nauczycielski w szkołach średnich i podstawowych. Obecnie we wsi absolwenci opanowali GS, Prezydium GRN, Szkołę Podstawową (10), a 3 pracuje w Liceum, z którego wyszli. W tych latach kierowali zakładem dyrektorzy — Czesław Wojewoda, Antoni Wójcik, Jan Gil, i obecnie Jarosław Dryla.

Przytoczone fakty świadczą, jak doniosłą rolę oświatową i kulturalną pełni licea wiejskie w własnym środowisku i w życiu kraju. Nic dziwnego, że zakład w Jodłowej jest „oczkiem w głowie” mieszkańców gromady, ich chlubą i nadzieją. Liceum utraciło swą dawną nazwę i obecnie chce podjąć starania, by w związku z otrzymaniem nowego gmachu, jubileuszem Polski Ludowej i zbliżającym się 25-leciem zakładu nadać mu imię Bohaterów Tajnego Nauczania. Ze względu na chlubny rodowód wiejskiej szkoły średniej pomysł zasługuje na pełne poparcie.

J. G.

Smierć ludowego twórcy

W dniu 13 bm. zginął w nieszczęśliwym wypadku poeta ludowy i ceniony gwędziarz góralski — TADEUSZ SZCZECINA - GIEWONT. Zmarły był znany i popularny zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej i nauczycieli, gdyż często przyjeżdżał do szkół na spotkania autorskie. Wielokrotnie odwiedzał również szkoły w województwie rzeszowskim. Młodzież z wielkim zainteresowaniem słuchała jego opowiadań i gwęd gwarowych.

W tragicznym dniu poeta śpieszył na podobne spotkania do szkoły we wsi Lubla w powiecie strzyżowskim, w której z radością uczniowie czekali na jego przybycie. Wysiadając z autobusu w Twierdzy wpadł pod nadjeżdżający samochód i w kilka godzin później zmarł w szpitalu. Młodzież szkolna długo i serdecznie będzie wspominać przedwcześnie zmarłego pisarza, który ukazywał jej piękno regionu podhalańskiego i radował fascynującymi gwędami.

Teatr regionalny — nowa scena Krakowa

Region krakowski, w którym działa 11 teatrów i instytucji muzycznych wzbogacił się o nową scenę — Teatr Regionalny. Nowa placówka zamierza kultywować krakowski folklor, a jednocześnie służyć prezentacji dorobku i osiągnięć ludowych zespołów amatorskich.

Jednym z inicjatorów powstania w Krakowie teatru regionalnego jest zasłużony miłośnik folkloru, dziennikarz krakowskiej rozgłośni Polskiego Radia — Piotr Płatek, który od 15 lat zbiera autentyczne teksty ludowe. P. Płatek jest autorem scenariusza „Wesela krakowskiego”, które znajdzie się w repertuarze teatru regionalnego. Inauguracja teatru regionalnego odbędzie się w czasie obchodów tegorocznych „Dni Krakowa”.

(Kt — PAP)

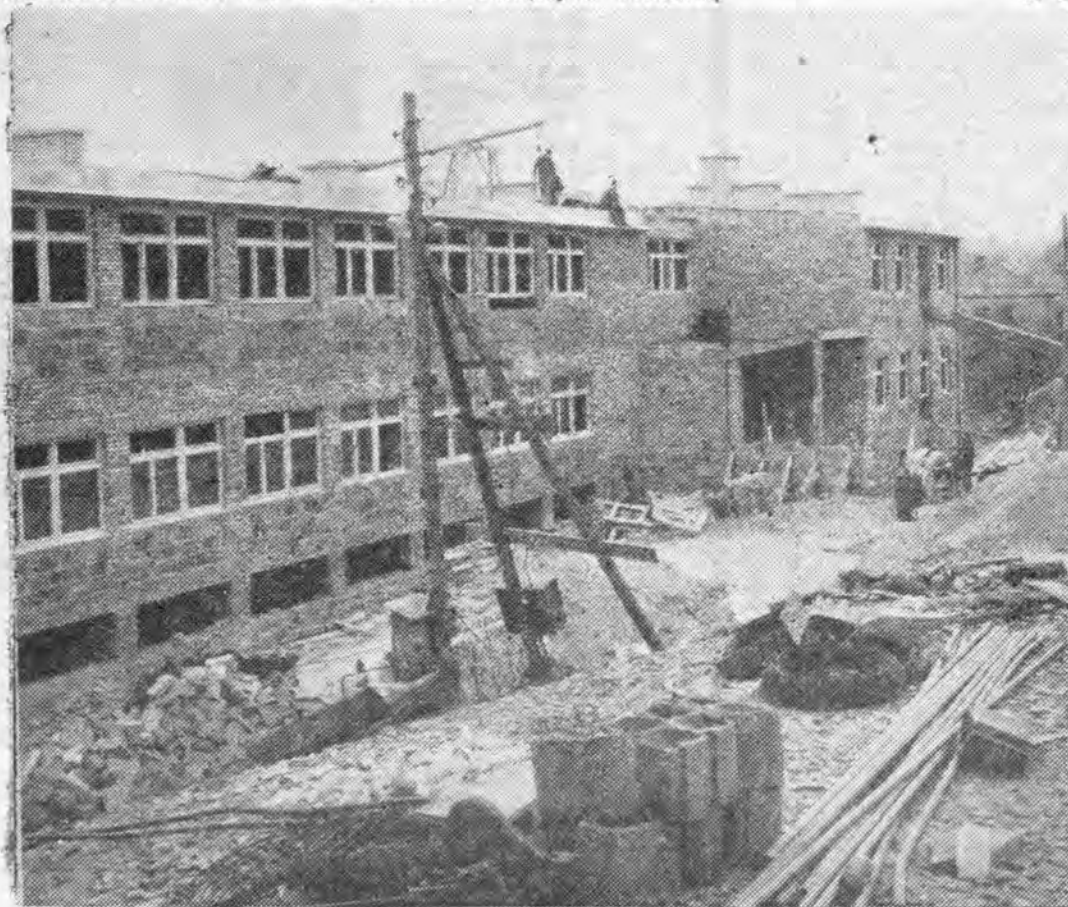
50 lat Biblioteki Narodowej „Ossolineum”

(Ciąg dalszy ze str. 4)

przedwojennym zaznacza się rozrost serii obejmującej arcydzieła literatury światowej. Wydaje się też dawnych autorów polskich dotąd rzadziej uwzględnianych przez wydawców, jak np. Franciszek Książnik, Cyprjan Godebski, Hieronim Lubomirski, Biernat z Lublina, Stanisław Kostka Potocki, Franciszek Dmochowski, Krzysztof Opaliński i inni.

Publikowane są wybory tekstów z pogranicza historii, kultury i literatury. „Komisja Edukacji Narodowej”, „Kuznica kolętajowska”, „Obrońcy języka polskiego w wiekach XV—XVIII”, „Wybór listów Chopina” — oto kilka przykładów tych pozycji.

Dziś, tak jak dawniej, młodzież i starsi poszukują tomików Biblioteki Narodowej „Ossolineum”. To jest najlepsza pochwała dla twórców i obecnych kontynuatorów tej bardzo zasłużonej dla polskiej kultury placówki. (Kt-PAP)



sto z osobistych wzruszeń. Porównywanie.

Zelwerowicz wyznał u schyłku lat swoich, że czuje się władcą dusz ludzkich, bo rządzi nimi poprzez własny talent, podając widza swojej woli, zmuszając go niejako do akceptowania tej władzy. W tej pięknej tyranii, jedynej zapewne, której się z rozkoszą poddajemy, upatrywał najwyższy sens zawodu aktorskiego.

A Frycz, cóż napisał u początków tytanicznej, wielostronnej pracy w swej pierwszej publicznej wypowiedzi, drukowanej w „W czasie” już przed 65 laty? Ze „zadaniem artysty będzie przystosować realne warunki istnienia dzieła do wymagań czasu”... Napisał te słowa mając 27 lat i przez dalsze 59 lat nic innego nie czynił ponad ich realizację. Wymieniać z imienia bodaj te 104 ważniejsze prace scenograficzne, z których każda prawie była objawieniem, te dziesiątki inscenizacji, te dyktury, profesury, konkursowe pierwsze nagrody, twórcze odznaczenia, jakie na jego 86 lat życia wypełniono sztuką przyrody — znaczący by rozstać się z Tobą, nie powiedziałabyś nawet do widzenia, bo zbrakło miejsca.

Teatr wciągnął ich wszystkich w swoją historię; tworząc

go wielkim — zostawiali mu siebie, swój intelekt i swoją wrażliwość. Dziś nie zawsze chcemy nam się pomyśleć, o tym, że stoi teatr świętą tradycją, zapoczątkowaną przed dwustu laty nazwiskiem rodzicielskim Bogusławskiego. I że, może jak w żadnym innym kraju, zawsze uważał się bardziej za ośrodek myśli, ognisko patriotyzmu, humanizmu niż świątynię sztuki, rozrywki, żonglerek literackimi nowościami. Że mało miał czasu na zabawianie królów, zrodzony właściciel za ostatniego, ale adresata od razu wybierał spośród najrozumniejszych, bo postępowej części narodu. Kiedy jednak już o tym pomyślimy, łatwiej nam pojąć te drogi, którymi zdążył do czołówki światowej, te komplementy, jakim krytyka światowa go dziś zaszczyca. Bo mamy teatr ciągle niespokojny, uwarstwiony na czas, w którym mu istnieć przyszło, osadzony mocno w realiach tego czasu. A jeśli zdarzyło się nam gdzieś zobaczyć nie te wartości, lecz błędzenie, stojące stawy myśli, pokrętnie idee — to w świetności ogólnej nawet nie warto o nich mówić i nie warto tych odprysków nawet sercem zapalać — jak to pięknie powiedział poeta.

Mając teatr narodowy, jednolity w idei — różny w formach,

możesz go przecie zobaczyć też, jako najświetniejszą cząstkę teatru ogólnoludzkiego, między-narodowego. Dlatego wcale Ci się nie dziwię, żeś sięgnął po Hrabala i Dostojewskiego, przy których choć na chwilę przystanę ku wytchnieniu i czystej rozkoszy, jaką mi dało ich obejrzenie.

Pamiętasz, ile śmiechu dziennikarskiego spowodowało kiedyś wyznanie Marilyn Monroe, że marzy o zagranii Gruszeńki w filmie made in Hollywood? Nie wiem, czy to było takie śmieszne nieco później, kiedy ciż sami dziennikarze przemianowali ją na świętą męczennicę stosunków w świecie filmowym Zachodu i nie wiem, czy ta senna seks-bomba, nigdy nie ujawniająca duszy, właśnie nie byłaby Gruszeńką idealną? Gruszeńką wierną w występku i piękna w wulgarności? Jerzy Krassowski dysponował Gruszeńką — Lipińską i mnie się ona tak nie podobała, jak piękny był sam spektakl i ci wszyscy jego męczycieli, ci strasni — dobrzy Karamazowowie, diabły, święte starce, Rakitiny, Smierdiakowy. To był Dostojewski w męce szukający dobra, biorący w rękę duszę ludzką i przerażony jej skomplikowaniem — próbujący z wysiłkiem rozzerzeć ciemność. Tak samo ciemność rozdzierał Krassowski;

porządkował z uporem i troską, by nie uszkodzić delikatnej materii, by zachować filozofię humanisty — ośmieszyc nieco mistyka, by zachować koloryt czasów — by przenieść historię z jednego konkretnego czasu w wymiar ponadczasowy.

To robił Jerzy Krassowski — inscenizator. Inny, również świetny Zygmunt Huebner wziął i rozpisal na teatr opowiadanie Hrabala z pietyzmem dla Hrabala i dostaliśmy teatr tyleż gorącą co współczesnością przyprawiony, spękany w warstwie czysto teatralnej, nierówny, ale pasją wymyślony. Obaj wszak zrobili to, o czym Frycz powiedział, że jest zadaniem artysty przystosować realne warunki istnienia dzieła do wymagań czasu. I tak na telewizyjnym ekranie, pozornie bliższym filmowi niż żywemu teatrowi — dwóm współczesnym inscenizatorom udało się wejść w krąg tradycji teatru w sposób najbardziej doskonały, bo nie wynikający z formy, techniki, estetyki — lecz z wagi słowa i rozumu, pomieszczonych w literaturze.

Zdaje mi się, mój drogi, że telewizja jest rewolucją w dziejach teatru polskiego. Po pierwsze dlatego, że jak prawdziwe rewolucje zagarnia i wciąga masę; po drugie dlatego, że szukając własnej, odrębnej estetyki,

nowych praw — także jak mądre rewolucje, nie odrzuca tradycji, lecz chroni ją, wyluskuje z niej prawdy najgłębsze.

Hanuszkiewicz powiedział, że teatr telewizji — to nawrót do teatru dworskiego, gdzie aktor twarzą w twarz siedzącego wielmożę wypowiadał kwestię. Gdzie monolog — dziś czytaj zbliżenie, był dlatego możliwy, że fotel od sceny niewiele przestrzeżeni dzieliło; a zbliżenie telewizyjnego ujęcia — to mowienie wprost do nas, siedzących dwa metry od telewizora. Może i prawda, że tu i tam dominuje kameralność. Ale teatr dworski, królewski, miał parunastu, parudziesięciu widzów; ten operujący monologiem w zbliżeniach godzi sztuką miliony. I te miliony, coraz mniej oporne, wychowywane en masse na najświetniejszych pomysłach inscenizatorskich powoli stają się coraz bardziej wybredne i... coraz bardziej wrażliwe. Kiedy jesteśmy wymagający z wrażliwością, wybredni zaś z poznania — zachodzi wtedy moment w życiu społecznym najpiękniejszy.

I na tym optymistycznym stwierdzeniu dziś skończę, by za tydzień przypomnieć Ci o wiosnie, świętach, pisankach, baziach i, być może, namówić Cię na małą eskapadę w wiosenny świat. KRYSZYNA



Ryszard Biłski

Afrykański rejs

Cotonou - Lagos - Douala

(VIII)

W najelegantszym sklepie „Moprix” w Cotonou spotkaliśmy doktora Michejda. Spotkaliśmy? Nie, to on nas znalazł... Skoro tylko dowiedział się, że w porcie stoi „Rzeszów” wsiadł do samochodu i po kilkunastu minutach był na statku. Niestety, kapitana Lubańskiego ani też Arkadych Fiedlerów już nie zastał. Wyprysnęli wcześniej na miasto.

Michejdowie są jedyną polską rodziną zamieszkałą w Cotonou. Nie pierwsze to ich spotkanie z Afryką. Weześniej, spędzili kilkanaście miesięcy w maleńkiej, zagubionej w buszu-wsi kongijskiej. Pan Michejda pracował w nowo zbudowanym, lecz nie posiadającym jeszcze personelu — szpitalu. Był sam. Trzy razy dziennie, a czasem i w nocy przemierzał drogę dom — szpital. Na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo, drapieżne zwierzęta i jadowite węże.

Te pionierskie, afrykańskie lata wspominają dziś nasi gospodarze jak barwny, przygodowy film. — Męża ogarnęła pasja pracy — mówi pani Michejdowa (z zawodu lekarz sądowy). Nie czuł zmęczenia, nie widział groźącego zewsząd niebezpieczeństwa. Harował za cały szpital. Był przepracowany ale czuł się szczęśliwy. Tak jest i teraz. Obawiałam się, że przejście do pracy w administracji może mieć złe skutki. Oderwanie lekarza — chirurga od sali operacyjnej i posadzenie go za biurkiem, choćby nawet nie wiem jak ważnym (Michejda jest obecnie doradcą w ministerstwie zdrowia Dahomeju) mogło męża zalać... z początku czuł się źle, a i teraz czasem ma ochotę na jakąś operację, żeby nie wyjść z wprawy.

W Dahomeju na blisko 2,5 miliona obywateli przypada zaledwie 65 lekarzy. Brak także i niższego personelu medycznego. Nie ma odpowiednich pomieszczeń itd. Opracowanie więc w tych warunkach programu działania na najbliższe lata i w dalszej perspektywie było zadaniem niełatwym. Wymagało licznych wyjazdów, bardzo uciążliwych i niebezpiecznych. Ekspedycje doktora Mi-Kejdy (tak właśnie wymawiają Dahomejczycy jego nazwisko), docierały tam, gdzie było to dotychczas niemożliwe, nawet do wioski odciętej od świata bagnami... szedł po szyć w błocie, nocował na legowiskach usłanych z gałęzi. Przeżył kilka ataków malarii. Mocne życie, pełne przygód przypadło do gustu chirurgowi z gdańskiego szpitala i nie myśli tam prędko wracać.

My, niestety musimy pożegnać polskich afrykańczyków i płynąć dalej. Kolejny etap rejsu wiedzie do stolicy Nigerii — Lagosu.

Do portu wpłynęliśmy wczesnym rankiem. Polscy piloci portowi, których jest tu aż piętnastu, nie pozwolili „Rzeszowowi” długo czekać na redzie. Znow serdeczne powitanie. Na mojego sąsiada z kabiny czekał kolega — Rafał Michalik. Od czterech lat mieszka w Lagosie i rozbudowuje sieć energetyczną Nigerii. Wyglądał na bardzo zmęczonym tropikiem niż my, być może dlatego, że w biurze, w którym pracuje — od trzech tygodni nieczysta jest klimatyzacja. Bez dopływu świeżego, osuszonego i ozdobionego powietrza, trudno żyć, a tym bardziej pracować. Upały i wilgoć powodują wiele chorób. Opowiadano mi o pewnym pracowniku jednej z polskich placówek dyplomatycznych w Afryce, który nazwy przedmiotów zaczął wymawiać zdrobniale, zamiast pieczętka mówił — pieczęteczka, zamiast podanie — podanecko itd. Lekarze orzekli, że są to typowe objawy tropikalnego przemęczenia.

Stoimy w rozgrzanym i buchającym zarem Lagosie. Już czwarty dzień. Zanosi się jeszcze na kilka, rozładunek odbywa się bowiem w żółtym tempie.

Polscy afrykańczycy nie pozwalają się nudzić załodze i pasażerom „Rzeszowa”. Codziennymi gośćmi na statku są piloci portowi. Pan Józef Ananicz oddał swojego Volkswagena do naszej dyspozycji, a sam zgodził się być kierowcą i przewodnikiem zarazem.

Nie wyobrażam sobie zwiedzania wielkiego Lagosu bez samochodu. Milionową stolicę Nigerii (z blisko tysiącem stacji benzynowych) rozdziela laguna. By przedostać się z jednej części miasta na drugą, trzeba iść pieszo około 10 km albo płynąć wodnym kanałem. Jest to niewątpliwie atrakcyjna wycieczka — ale męcząca. W ferze (tak nazy-

wa się ten tramwaj) dziesięć razy więcej podróży niż miejsc siedzących i stojących. Ścisł, pisk, pot się z człowieka leje, przkleja się do sąsiadów, a tu nad uchem wydziera się jeszcze propagator nowej religii. Agituje i sprzedaje zapisane hieroglifami plachty. Tylko skończył, a już zaczął następny. Ten zaprasza wszystkich na wielki jubel, połączony z występami zespołów artystycznych organizowany przez konkurencyjną sektę. Wreca za darmo ulotki.

Srodmieście Lagosu jest nowoczesne. Wysokie bloki, awangardowa architektura, ale 20 metrów w prawo, czy też w lewo znów obskurne budy, cuchnące otwarte kanały ściekowe, półnagie dzieci. KONTRASTY. Na każdym kroku. Superelegancki samochód z klimatyzacją i rozklekotany rower, wystrojony w drogą narzutę czarny bogacz i półnagi jego rodak.

Ruch kołowy jest duży. Kilka tygodni temu oddano do użytku nowy, drugi most łączący obie części miasta. W związku z tym, szereg ulic przemianowano na jednokierunkowe, w nadziei, że usprawni to komunikację. Gdzie tam! Zapanał chaos trudny do opisania. Ale chyba nie na długo? W Lagosie, tak zresztą jak i w innych byłych koloniach angielskich obowiązuje ruch lewostronny. Znaków zakazu, nakazu i informacyjnych jest mało. Najczęściej spotykane to: „trzymaj się lewej strony”, „daj drogę”. Nie ma ograniczenia szybkości, każdy może pędzić na ile stać silnik. Nie zabrania się kierowcom pić wódki, warunek — muszą tak jeździć byle nie spowodować wypadku.

Czekamy w długiej kolejce samochodów jadących na nowy most. J. Ananicz wychodzi z siebie, by jak najszybciej przedostać się przez to wąskie, najwęższe chyba gardło Lagosu. Korek, o jaki w Warszawie trudno. Strach wychylić głowę... o milimetry, tuż obok nas, niemalże ocierając się przeciskają się samochody, które będą skręcać w prawo. My pojedziemy w lewo — musimy więc jeszcze czekać. No, wreszcie ruszyła kawałkade. Na moście robi się luźniej, długi sznur samochodów rozciąga się, urywa, szybsze uciekają do przodu, wolniejsze zostają. Most, mało powiedzied piękny. WSPANIAŁY! Szeroki, z podjazdami na wysokich żelbetonowych słupach. Wygląda jak cacko do podziwiania. I znów KONTRASTY, w dół tuż obok filarów parterowe rudery, budy, sterty śmieci i kozie ta...

...ozdramy przez jedno z największych podlagoskich osiedli o nazwie Mushin. Całe życie stołecznego przedmieścia skupia się na ulicy lub w jej bliskim sąsiedztwie. Tu wszystkie chałupki są podobne, jednakowo nędzne i brudne. Nawet szyldy nad sklepowymi witrynami malowane w tych samych, krzykliwych kolorach. Różnią się rzeczą jasną treścią; tu sprzedaje się wiadra (ocynkowane — made in Poland), cement, również z Polski, gdzie indziej zaś euklerki, popularne są polskie landryny i kukulki. Pod dachem zrobionym z dna starej skrzyni — warsztat naprawy telewizorów. Na innej budzie szumny napis — „Doktor od zegarków”.

Przejechaliśmy co najmniej 70 mil (około 100 km), w małym Volkswagenu bez klimatyzacji. Sześć osób. Należy się więc odpocząć. Wstępujemy na cocolę z lodówki do przydrożnej restauracji, schowanej wśród krzewów i drzew. Jesteśmy jedynymi gośćmi, choć to już prawie wieczór. Dawniej (czytaj — przed wojną z Biafrą), bawiono się tu głośno do późnej nocy. Teraz, gdy o zmierzchu obowiązuje zaciemnienie, lokal stracił klientów.

Zaciemnienie to nie jedyny znak trwającego w Nigerii stanu wojennego. Po ulicach krążą pojazdy wojskowe, spotyka się uzbrojonych żołnierzy. Wszystkie samochody wyjeżdżające z portu są kontrolowane. Kontroluje policja, celnicy i wojsko. Zaglądają do bagażników i walizek, sprawdzają dokumenty. Celnicy, policjanci i żołnierze są tak przejeżdżając swoją rolę, i tak sumiennie wykonują obowiązki, że dziwi nas bardzo wyraźne żądanie łapówek. Drugiemu oficerowi z „Rzeszowa”, który nie chciał dać bakszyszu zabrano w bramie portowej paszport. Nie pomagały interwencje, musiał w

końcu zapisać na straty kilka paczek amerykańskich papierosów.

Wróciłoby na statek w nocy. Choć to podobno nie w lagoskim zwyczaju przy kilku drobnioczkach pracowały dźwigi. Wyładowywano także towary z „Rzeszowa”.

W środę, 26 lutego, po przeszło tygodniowym postoju podniesiono wreszcie kotwicę. Płyniemy do Douali, ale w zmniejszonym już składzie. W Lagosie wysiedli obaj Fiedlerowie. Mają zamiar dotrzeć do północnych, mniej znanych obszarów Nigerii. Jeśli starczy sił i pieniędzy wybiorą się także nad jezioro Chad.

Nie pierwsza to i mimo podszłego już wieku podróż. Bakiem wędrownictwa zaraził swego syna, noszącego również imię Arkady. Junior był już z ojcem na dale-

kiej Syberii. Porządnie zmarł, za to teraz wygrzeje się w afrykańskim słońcu. Pasjonuje się fotografią. Zresztą, obaj Fiedlerowie doskonale fotografują. Senior uważa, że książka bez zdjęć nie przemawia do czytelnika, brak jej cech prawdziwości. Na trzymiesięczną wyprawę zabrali doskonałe lustuszki „Rojal-Flex” i spory zapas filmów, na około 1000 zdjęć.

Od początku rejsu zauważyłem, że pisarza-podróżnika nie interesuje życie dużych miast, nie obchodzi go wystawy sklepowe i relacje cen. Unikał dyskusji na tematy turystyczno-handlowe. A to nie było łatwe, bo vis a vis przy stoliku spotkał zawsze podczas posiłków pewnego starszego pana, który gołęb by nawet i milę morskie przeliczyć na franki, gdyby się tylko to opłacało... Zwiedzając Abidjan, Dakar, Takoradi za-

Mieczysław Fogg — król polskiej piosenki



29 marca mija 40 lat od chwili, gdy Mieczysław Fogg stanął po raz pierwszy przed publicznością. Było to w warszawskim teatryku rewizyjnym „Qui pro Quo” przy ulicy Senatorskiej. Teatrzyk ten już dawno przeszedł do historii, ale Mieczysław Fogg śpiewa dalej w kraju i za granicą, nagrywa nowe płyty, wzrusza swych słuchaczy, zbiera brawa i z dużą kulturą prezentuje swój bogaty repertuar.

— Gratulujemy jubileuszu. W imieniu naszych czytelników prosimy przyjąć podziękowanie za pańskie piosenki i życzenia dalszych lat spędzonych w ich służbie. Prosimy zdradzić tajemnicę swej młodości. Podobno na Foga nie ma rady?

— Za życzenia dziękuję. A na Foga istotnie nie ma rady. Tajemnica młodości? Mam zbyt wiele pracy, aby myśleć o latach, które minęły. Widzę tylko te, które jeszcze mam przed sobą. Jak mówią lekarze — jestem wybrzykiem natury. Po tylu latach zawodowego śpiewania głos mój powinien się już wykruszyć. A podobno ma on świeżość 30-letniego mężczyzny. To mnie cieszy, gdyż jestem potrzebny ludziom. Mam mnóstwo zajęć, jestem stale zabiegany, ale bez tego nie mógłbym żyć. Byłbym strasznie niezdolny, gdyby było inaczej.

— Kiedy odbędzie się uroczystość jubileuszowa?

— Dopiero w październiku, w Sali Kongresowej w Warszawie. Teraz przygotowuję

nowy program z którym pojedę „w Polskę”. Nosić on będzie tytuł „A to już czterdzieści lat”. Ten przegląd moich piosenek zakończony zostanie piosenką jubileuszową specjalnie dla mnie napisaną przez Jerzego Klejnego.

— Pańska piosenka towarzyszyła ludziom w różnych, często dramatycznych sytuacjach. Jaką funkcję wówczas spełniała?

— To zależy od okoliczności, w jakich była odbierana. W czasie okupacji np. doszukiwano się w niej ukrytych podtekstów. Kiedyś śpiewałem w kawiarni piosenkę o jesieni i wiosnie. Gdy skończyłem, podszedł do mnie starszy pan i powiedział, że zrozumiał aluzję, że wojna się wkrótce skończy i że niedługo będzie Niepodległa Polska. W czasie powstania śpiewałem w piwnicach dla ludzi chorych, śmiertelnie zmęczonych, głodnych, dla rannych. Piosenka moja pozwalała im wówczas bodaj na chwilę zapomnieć o tym wszystkim, co się wokół działo. W czasie występu w Detroit nieznanymi starszy mężczyzna dziękował mi za piosenkę, która przypominała mu jego pierwszą miłość. Śpiewane przeze mnie w ciągu tych 40 lat piosenki kojarzą się u mych słuchaczy z różnymi wspomnieniami sentymentalnymi i dramatycznymi. Np. piosenka „Przemoczone pod plecakiem osiemnaście lat”, śpiewana w Toronto w Kanadzie, była przyczyną zemdenia jednej ze słucha-

puszczali się Fiedlerowie głęboko w osiedla murzyńskie, szukając prostych, serdecznych ludzi. Chcieli poznać ich kłopoty, troski i obyczaje.

Byłem uczestnikiem dyskusji (brał w niej udział pracownicy naszej placówki dyplomatycznej w Lagosie) podczas której ustalono marszrutę naszych wędrowników. No więc jak już się rzekło — północna Nigeria. Dotrą tam nie samolotem, ani też wygodnym samochodem, lecz wlokącym się kilka dni pociągiem, z którego korzystają prawie wyłącznie czarni. Oczywiście koleją wszędzie nie dojadą. Dziesiątki kilometrów trzeba będzie przebyć pieszo. Fiedlerowie nie chcą iść sami, rozglądają się za towarzyszem podróży.

— Musimy znaleźć przyjaciela. Oczywiście, że będzie to jakiś afrykański zwierzę. Może słoń, może struś, jeszcze nie wiemy. Chcemy się naszym przyjacielem opiekować, poznać go i przyjąć do serca — mówi Arkady — senior. W podróży musi być zwierzę, konieczne, a później — rzecz jasna — będzie w książce.

Kto wie, może pociąg, którym jadą Fiedlerowie dojeżdża już do Kano, położonego blisko granicy z Nigrem. My zaś dopływamy do Douali, miasta — jak mówią marynarze — „czarnych błyskawic”. Ale o tym w następnej korespondencji.

Przyszła potem do mnie ta kulisy i przepraszając za zamieszanie, które wywołała na sali, powiedziała, że piosenka ta przypominała jej syna, który miał właśnie 18 lat, gdy zginął w Powstaniu Warszawskim.

— Niektórzy twierdzą, że śpiewa pan tylko dla starszej publiczności. Co wykazuje pańska codzienna praktyka estradowa?

— U starszej części mojej widowni — wyzwała — ona wspomnienia młodości. Pokolenie średnie słucha ich, aby znaleźć w moich piosenkach potwierdzenie własnych, osobistych przeżyć. Przychodzi jednak wielu młodych, w większości wychowanych na krzykliwym big beacie. Wiedzie ich chyba ciekawość tego Fogga, którego słuchali już ich dziadkowie i rodzice. A więc chyba słusznie nazwał mnie ktoś „śpiewakiem pokoleń”.

— Jakimi zagranicznymi wojażami rozpocznie pan 41 rok swych występów na estradzie?

— Ze swymi piosenkarkami Krystyną Borecką i Miłą Czerwińską oraz zespołem muzycznym „Baby Jagi” w składzie: Jadwiga Leśko-Wisniewska, Dorota Luckner, Bogna Nazzieblo i Alina Sułkowska wyjadę do Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych i Kanady. Być może odwiedzę również Australię.

Opracowanie: CAF

Rozmawiał: Cz. Chruściński

Zdjęcia: H. Rosiak

Sieczę w biurze i kontemplując wrażenia urlopowe, marzę o kilku dniach prawdziwego odpoczynku. Odbite od blatu biurka słoneczne promienie oślepiają, przez otwarte na oścież okno tłoczy się przyjemne ciepło. Jaka wyborna pogoda! Żyć się chce!

Przybycie ważnej sprowadza mnie do rzeczywistości. Kiedy otwieram doręczoną przez nią kopertę, całymi już stopami dotykam ziemi. Na odległość, ze stołecznego hotela kierujący mną SZEFA zawiadamia, że powołał komisję do przeprowadzenia kontroli w naszej łańcuckiej placówce. Komisja w naszej organizacji to PRZEWODNICZĄCY i co najmniej jeden członek. Ale mój SZEFA jest dowcipny: z jego woli komisja do Łańcuta składa się tylko — co wyraźnie określa zawiadomienie SZEFA — z... PRZEWODNICZĄCEGO w mojej skromnej osobie. Członka nie przewiduje się nawet na lekarstwo. Będę zatem sam sobie PRZEWODNICZĄCYM sztorcującym członka i członkiem pokornym wykonawcą woli i poruczeń PRZEWODNICZĄCEGO. Tylko diety brać będę albo za jednego, albo za drugiego. Co szkodzi? I tak są jednakowo niewystarczające, choćby pomnożyć przez dwa.

Tymczasem oddają się błogiej myśli o czekającej mnie podróży do Łańcuta, rodzinnego gniazda, podróży niby to służbowej, niby to prywatnej. Wyfrunąłem z niego przed niemal czterdzięciami, pozostawiając tam dziarskiego jeszcze rodzica i zupełnie hożą rodzicielkę. Wpadałem do nich rzadko i na krótko, za każdym razem raniąc serca ich i swoje, gdy nadchodził czas rozstania, nigdy nie wiadomo na jak długo. W ciągu lat warstawałem w inne miasto i nowe środowisko, z dala od kolebki, w której dojrzewałem.

Rozpiera mnie wzruszająca radość na myśl o parotygodniowych odwiedzinach domu i miasta, dawnych kołom, wszystkiego tego co było moim dzieciństwem i młodością „chmurną, a durną” do dziś skrzętnie kulturowaną w zakamarkach pamięci. Jakże też spotkamy się po latach z miastem i wszystkim co w nim żyje? Jak przywitamy się? Czy się w ogóle poznamy?

Dziesiątki kilometrów przemierzam już ziemię rzeszowską, doznając chwytającej za serce swojskości, tubylstwa, znajomej gwarowości. Z każdym kilometrem wszystko tu bardziej znajome, bliższe, coś czym sam byłem i chyba jeszcze jestem, w czym wyrosłem.

„Syrena” wciąga mnie na kolejne wznesienie i... Krótkie spojrzenie w lewo. Na horyzoncie skupisko domów, domeczków i większych budowli rozrzuconych w nieładzie albo zastawionych w zespoly osiedli. Wszystko to na zboczach wznesienia, lub zapadające w zagłę-

bienia terenu. Z tego miejsca podobne to do dziecińczych kłoczków, nad którymi wszakże panuje wyniosłe okazała bryła kościółca z wieżą błyszczącą blaszanym hełmem i mniejszą od niej wieżyczką pośrodku szczytu dachu. Lotem ptaka to niedaleko, „gablota” kilkanaście jeszcze kilometrów. Ale już cię dojrzałem. Witaj Łańcucie, stary znajomku! Cierpliwości, a uściśnięmy sobie grabule!

Do domu wracam, gdy niebo już iskrzy mrowiem gwiazd. Miasto skąpi światła. W ciemnościach wybatuszam oczy. Pojmuję cel z rzadka rozmieszczonych, nikłych jak kaganki, lamp ulicznych na Konopnickiej i w

Zdzisław Turek
Z dziennika delegowanego

PO LATACH

środkowej części Grunwaldzkiej. Wszak choćby w nocnej porze lepiej jest ukryć przed okiem przyjezdnych wstydliwie zaniechanie dziko przepływającego tędy, nieuregulowanego strumyka zwanego Mikośką. Bo przed nawet niezbyt czułym nosem i tak nie da się zataić jego istnienia. Jeno dlaczego inne ulice, nie pomijając śródmiejskich, nie lepiej wyposażono w oświetlenie, a niektóre w ciemnościach całkowitych wręcz toną? To już pozostaje słodką tajemnicą szacownych ojców miasta Łańcuta.

Po południu biorę „gablota” i ruszam do Julina. Kiedy za Zolynią skręcam w lewo ku lasom, droga sprawa coraz więcej kłopotów, aż niemal na ostatnim kilometrze waham się, czy nie zawrócić w porę, póki nie jest za późno. Chwila namysłu i z uporem pcham się dalej po wypełnionych kałużami coraz głębszych wybojach.

W zabudowaniach dawnego myśliwskiego pałacyku, zamienionego teraz na schronisko przedsiębiorstwa turystycznego Bieszczady — pustki. Sympatyczny kierownik z elegancką gościnnością czyni honory pana domu.

Proszę wprowadzić wóz na dziedziniec i rozgościć się u nas — rzecze i proponuje pokój do wyboru.

Kiedy zapada zmrok, siadam na laweczce pod olbrzymim dębem i oddaję się zadumie.

Gdzie jeszcze spotkać mogę schroniska w tak wspaniałej oprawie, wśród leśnej gęstwy, jak to?... Julin. Z pewnością nie wykorzystana szansa dla wielu turystów zających niedaleką stąd drogą na szlaki Rzeszowszczyzny. Niewykorzystana szansa także dla przedsiębiorstwa BIESZCZADY. Bo dla licznych

przybywających w te strony bez przewodnika albo obeznanego pilota wstydliwie mizerny drogowskazik przy szosie między Biedaczowem a Zolynią, kierujący w boczną drogę ku Julinowi, jest o wiele za skromny, by go dojrzeć w ogóle, lub choćby w porę. Wszak droga do Julina odstrasza stanem nawierzchni. Ta droga, to jeszcze jedno poważne zaniedbanie. Aż dziw, że przedsiębiorstwo Bieszczady, skądinąd nie gorzej od niektórych innych podobnych przedsiębiorstw turystycznych, tu nie potrafi, czy nie może uderzyć gdzie trzeba, by rozwiązać sprawę porządnego dojazdu do tego jakże uroczego pałacyku myśliwskiego. Wyobrażam sobie ileż nieprzy-

zdoływana ranga i umiejętność jej utrzymania, jeśli nie wdrapywanie się wyżej jeszcze. A jakże to ranga Łańcuta?

Ze swoich rozlicznych wojaży po kraju nie pamiętam, bym spotkał kogoś, co by przynajmniej nie słyszał o Łańcucie. Oczywiście jest, że podczas tych spotkań, choćby z początku, nie ujawniałem swego rodowodu. Nie mam więc podstaw podejrzewać moich rozmówców o zwykłą li tylko kurtuazję. Zawsze jednak sprawiała mi przyjemność superlatyw o tym mieście tych, co je już odwiedzali, i tych, powtarzających na razie zasłyszane zdanie o Łańcucie. A że to przyjemne, malowniczo położone miasto na północnych krań-

I rzeczywiście! Pospuszczane nad pulpitem ławek lby były jednoznaczne odpowiedzi — na to jakże celne a zaskakujące pytania. Nie wiem, czy reszta koleżanek i kolegów także, ale pamiętam jak bardzo było mi głupio że rzucanej rękawicy podjąć nie mogę, że zaskoczenia zaskoczeniem odpardować nie potrafię, że wreszcie nigdy nie wpadłem na tak przecie prostą i oczywistą myśl, by, zanim brać się za Wojny Punickie, w historii własnego miasta poprzebać nieco. A tu o tym ani w ząb!

Do dziś w resztkach szkolnych szpargałów natrafiam często na historię Łańcuta własnoręcznie wpisaną na pierwszych kartach zeszytu, pod dyktando pani profesor. I do dziś z ogromną serdeczną sympatią wspominam mądrego pedagoga, który w taki sposób rozniecał w nas umiłowanie ojczyzny historii i to niemal bezpośrednio po straszliwej pożodze, jaka ogarniała nasz kraj. Pamiętam, jak wykład o historii Łańcuta pani profesor uświetniła żywym jej obrazem, wycieczką po mieście.

Nie miejsce tu, abym opowiadał dzieje tego miasta. Wystarczy, jeśli do niniejszego dziennika załączę strzęp wspomnianego zeszytu z czterdziestego czwartego roku. Niechaj moje potomstwo wie, jak w owych latach uczono historii. Jeśli je nikt tak nie uczył i nie uczy, niechaj samowiedzę o ojczyźnie uzupełni poznanie rodowodu miasta, w którym na świat przyszło i gdzie się wychowywało.

Zagalopowałem się we wspomnienia. A to dlatego, że kiedy tu jestem, odżywają one, jak by to było wczoraj. I w jakikolwiek zaułek łańcucki trafię, czuję się jakbym nadal uczestniczył w owej, prowadzonej przez panią profesor, historycznej wycieczce. Już się otrząsam ze szkolnych wspomnień i wracam do siebie.

Wydoroślałeś i zmężniałeś, jakże przy tym odmłodziłeś, sześciowiekowy Łańcucie! Nie dziwi mnie, że tak tłumnie i niemal nieustannie, choć na krótko, nęskiedy tylko przejazdem, ciągną tu wycieczki z każdego zakątka kraju. Nie gniewa mnie i moją syrenę, że czasem trudno o dwuosładowe dla niej miejsce na łańcuckim parkingu. Nie zaskakuje spostrzeżenie, że nawet obcy język i niepowołani kolor skóry zdarzający się na ulicy nie uprawia w osłupienie i rozdziawianie gęb moich krajan, zaszczepionych tu od początku. Otrząskane towarzystwo, ot co!

* Autor jest synem znanego pisarza z Łańcuta Romana Turka.

cach Pogorza Dynowskiego, że muzeum w pałacu z rokokowym i klasycystycznym wnętrzem, że niespotykane nigdzie więcej w Polsce muzeum powozów i karoc, że piękny park angielski. Nic więc dziwnego, iż tu właśnie kręć filmy i odbywają się interesujące imprezy kulturalne i artystyczne, niektóre już tradycyjne, jak choćby DNI MUZYKI KAMERALNEJ. Także telewizja wyznacza rendez-vous z mistrzami X Muzy, jak na przykład z nestorką polskiej sceny Mieczysławą Cwiklińską. Nawet do filatelistyki trafił Łańcut w postaci znaczkowej serii powozów.

Ja także to wiem i widzę. Ba, wiem więcej. Bo kiedy po latach ponurę okupacji, we wrześniu czterdziestego czwartego wróciliśmy do szkolnych ław kończyć przerwany przez wojnę edukację, przeczana starszka, pani profesor historii, naukę tego przedmiotu rozpoczęła od... historii Łańcuta.

— Drodzy państwo! — tak rozpoczęła wykład (wszyscyśmy się golił od co najmniej kilku lat, niejedna z naszych klasowych koleżanek i wielu z nas wiedziało co to smak konspiracyjnej roboty) — Aby umiłować swój kraj i rozumieć jego historię — trzeba wprawo dobrze poznać historię własnego miasta. A któż z was może mi opowiedzieć jego dzieje?

U „Artura”

(Ciąg dalszy ze str. 2)

chodziła ze starej przemysłowej rodziny — pisane w różnych okresach. Listy, wprowadzające

w atmosferę pracy i życia artysty czytał Erazm Buchelt.

Wydarzeniem natomiast było wykonanie przez Alfreda Müllera dwóch miniatur fortepianowych: „Tar” i „Robot”. Utwory te grał pan Müller również w 1935 r. w Krakowie, w czasie sławnego koncertu kompozytorskiego. Utwory i teraz zostały przyjęte z gorącym aplauzem.

Pierwszy wieczór „U Artura” zakończyło wykonanie Tria fortepianowego przez pianistę Jerzego Łukowicza, skrzypka Antoniego Czechowicza i wiolonczelistę Krzysztofa Okonia. Trio, jedno z najbardziej ulubionych przez kompozytora dzieł — zachwyliło swym pięknem; zachwyliło także idealną interpretacją młodzi krakowscy muzycy, którzy już rozslawili ten utwór Malawskiego w całej bodaj Europie. Trio fortepianowe przyjmowane jest wszędzie tak samo gorąco jak w Przemyslu. Oklaskom nie było końca!

W atmosferę wieczorów „U Artura” wprowadziła Izabela Pajdak, mówiąc o życiu i dziele twórcy „Wierchow”.

Dziś zapewne miłośnicy muzyki w Przemyslu oczekują już zaproszenia na kolejną biesiadę, na której serwuje się tylko muzykę współczesną. Trochę cierpliwości, proszę...

M. C. GUZIOLEK

chodnich. Konfrontacja przeszłości i teraźniejszości.

Gerard Górnicki: DOM NA PACYFIKU. Wyd. Poznańskie, s. 192, cena 14 zł.

Napisana w 1967 roku nowa powieść pisarza związanego z naszym województwem, miejscem urodzenia. Okupacyjna. W pierwszej osobie.

Bogusława Łatawiec: SOLARIUM. Wyd. Poznańskie, s. 154, cena 11 zł.

Pięć opowiadań związanych ze szkołą. Współczesne. Poetyckie.

Joseph Conrad: KORSARZ. Przeł. J. B. Rychliński. Wyd. VI. PIW, s. 300, cena 22 zł.

Jest to jedna z nielicznych, historycznych powieści tego angielskiego pisarza polskiego pochodzenia. Akcja rozgrywa się podobnie jak w innych, w czasach Napoleona. W serii.

Władysław Orkan: CZANTORIA I pozostałe pisma literackie. Wyd. Literackie, s. 496, cena 35 zł. Wyd. I. Tom zawiera raczej mało znane utwory tego znakomitego pisarza. Jest tu więc powieść „Czantoria”, nowela i obrazki oraz szkice i wspomnienia literackie.

Tadeusz Pietrzak: PODZIEMNY FRONT. Wyd. IV. Iskry, s. 220, cena 9 zł.

Przeżycia działacza PPR, ZMW, bojownika GL i AL. Głównie o Batalionie Szturmowym AL im. „Czerwotaków”. Ciekawa pozycja partyzantska.

Edward Chrony: SZACHOWNICE

NAD BERLINEM. Wyd. II. MON, s. 342, cena 20 zł.

Szlak bojowy I pułku lotnictwa myśliwskiego „Warszawa”. Walki powietrzne. Przygot. A. Kołczyński.

Tomasz Sobaniński: UCIECZKI OŚWIĘCIMSKIE. Wyd. II. Popr. i uzup. MON, s. 256, cena 12 zł.

Z obozu też można było uciec. Ale jakiego to wymagało hartu... Jakiej odporności psychicznej i jakiej pomocy ze strony organizacji. Ponadto ciekawy wstęp o Oświęcimiu pióra Jana Zaborowskiego.

Maria Pruszkowska: PRZYSŁE PANU LIST I KLUCZ. Wyd. Morskie, s. 180, cena 12 zł. Wyd. III.

Powieść ta zdobyła sobie ogromną popularność. Jej tematem są dzieje urzędniczej rodziny ogarniętej manią czytania. Przedwojenna Warszawa. Ciekawa narracja i obserwacja.

Walentyna Katakajew: ZIMOWY WIATR. Przeł. A. Galis. Wyd. IV. Iskry, s. 244, cena 9 zł.

Część trzecia z cyklu: „Fale Morza Czarnego”. Przypomnieć warto, że pierwsza część nosi tytuł „Samotny biały żagiel”.

Sawa Holowaniński: TOPOŁA NA TAMYNY BRZEGU. Przeł. S. Kuźmińska.

Urodzony na Ukrainie radziecki pisarz starszego pokolenia. Działania bojowe grupy specjalnej wojsk radzieckich, bohaterka akcja nurków i akrobatów, którym przypało w latach wojny z hitleryzmem bronić zaopry na Dnieprze.

KSIEGA PODROZY EWLIJI CZELEBIEGO. Wybór. Tłum. z tureckiego Z. Abrahamowicz, A. Dubiński, S. Płaskowicka-Rymkiewicz. Red. nauk. wybór, słowo wstępne i komentarz: Z. Abrahamowicz. Szkic o Ewilji Czelebim i jego dziele napisał Jan Reichman. KiW, s. 478, cena 60 zł.

Zył w siedemnastym wieku. Wiele podróżywał. Znal wielu wybitnych ludzi. Orient.

Maria Meglicka: PRASA KOMUNISTYCZNEJ PARTII ROBOTNICZEJ POLSKI 1918—1923. KiW, s. 356, cena 30 zł.

Stanisław Myśliwski - Wołowski: UDZIAŁ PRUS ZACHODNICH W POWSTANIU STYCZNIOWYM. MON, s. 278, cena 30 zł. Mapy.

Karol Marks, Fryderyk Engels: MANIFEST KOMUNISTYCZNY. KiW, s. 128, cena 4 zł.

HISTORIA FRANCUSKIEJ PARTII KOMUNISTYCZNEJ. KiW, s. 702, cena 60 zł. Tłum. D. Buczkowska, S. Wiczorek.

POLITYCZNE, GOSPODARCZE I SPOŁECZNE ORGANIZACJE MIĘDZYNARODOWE. INFORMATOR. KiW, s. 404, cena 32 zł.

Około stu organizacji. Oto niektóre: Afrykańska Komisja Gospodarcza ONZ, BENELUKS, Liga Państw Arabskich, Plan Kolombo.

Henryk Batoński: AUSTRIA I SUDETY. 1919—1938. Zabór Austrii i przygotowanie agresji na Czechosłowację. Wyd. Poznańskie, s. 336, cena 35 zł.



Witold Jarecki: NIEOSTYGLA ZIEMIA. Wyd. Morskie, s. 250, cena 20 zł.

Debiut książkowy byłego oficera polskiego kontrwywiadu. Autor jako siedemnastoletni chłopak rozpoczął pracę w służbie bezpieczeństwa. Lata tuż po wojnie. Walka z bandami. Ciekawy materiał poznawczy.

Ryszard Zieliński: DZIEŃ CORAZ KRÓTSZY. MON, s. 232, cena 12 zł.

Rok 1939. Spojrzenie ze strony polskiej i niemieckiej. Ujęcie publicystyczno-literackie. Ciekawe epizody. Z okresu Września. Zbrodnie faszyzmu. Ciekawa pozycja.

Gabriel Zych: KARNAWAŁ NAD RENEM. KiW, s. 312, cena 22 zł.

Wielowarstwowa książka. Jej autorem jest długoletni więzień niemieckich obozów koncentracyjnych. A więc przeżycia obozowe, obserwacje i wydarzenia oraz spostrzeżenia dotyczące dnia dzisiejszego Niemiec za-

Kartki dla Ewy

WNETRZA

Mamy kluby, kawiarnie, świetlice, ale własne mieszkanie jest w dalszym ciągu miejscem, w którym człowiek spędza połowę życia. Dlatego też wnętrze mieszkalne powinno być funkcjonalne, estetyczne, przytulne — słowem takie, że właściciel czułby się jak w raju. Nad osiągnięciem ideału zastanawia się cały szereg znawców, ale sprawa ciągle jest nierozwiązana.

Projektanci zapominają np. o tak prozaicznych przedmiotach jak miotły, szczotki, elektroluksy. Nie znajdują one miejsca w żadnym z nowoczesnych mieszkań i z konieczności te niezbyt dekoracyjne rekwizyty upycha się po kątach: pod łóżkiem, na balkonie, w przedpokoju, za kotarką... Nie inaczej bywa z pralkami i lodówkami, choć zdrowy rozsądek wskazuje, by jedne stały w łazience, a drugie w kuchni. Nic z tego. Słusznie ktoś zauważył, że łazienki „uwierają w biodrach”, kuchnie również.

Architekci wnętrz miewają fantastyczne wizje. Mieszkanie musi mieć przestrzeń i światło. Każą więc tu i tam wydziobać parę cegieł, zlikwidować drzwi, wstawić meblówkę. Nade wszystko zaś wywalić graty odziedziczone po rodzinie.

W kwestii wnętrza głoś zabierają również psychologowie. Mówią oni że barwa ścian ma duży związek z samopoczuciem człowieka. Kolor czerwony, pomarańczowy i żółty pobudza umysł do intensywnej pracy, zielony działa uspokajająco, błękitny daje uczucie chłodu. To, co lubi neurastenik będzie źle wpływać na impetyka.

Najlepiej więc wraz z rodziną poddać się psychoanalizie, a potem malować ściany.

Chciałoby się mieć wiele rzeczy, np. modny ostatnio kwiatnik z żelaznej rury, wkręcany do podłogi i sufitu, suszarkę do bielizny automatycznie wciągającą pod sufit łazienki, wiszące szafki, skrzyneczki na balkonie. Fachowcy służą rysunkiem technicznym, szczegółowym opisem materiału tak, jakby druty, rury, gwinty, wsporniki i śruby można dostać bez najmniejszego kłopotu. Wielu rzeczy koniecznych do urządzenia nowoczesnego wnętrza brak w sklepach, skazani więc jesteśmy na prowizorkę, na graty i rupiecie.

Szczęśliwiec z pełną korbą zawsze znajdzie majstra od wszystkiego. Ten zainstaluje w domu rzeczy nieobecne w sklepach, doradzi, pomoże jak zrobić z mieszkania reklamowe cudenka. Zlikwidować szafę choć to mebel wielce użyteczny, kredens, łóżka i fotele. Po wielkich trudach kupi tapczan, regał i madejowe krzeselka. Zaoptymizuje się w kolekcję kaktusów, firanki z Cepelii i samowar. Nie zapomnieć o drobiażdżku z „fin de siecle'u”. Doda on naszemu lokum swoistego czaru.

Szczęśliwiec będzie mieszkał na wysokim połysku, póki nie zmieni się moda. Mebli jednak w antykwariacie nie sprzeda, gdyż stołom polamią się nóżki, a w regałach deski wypacza.

Nie ma to jak babcina kanapka. Gromady dzieci koży na niej fiłki, a staruszka świetnie się trzyma. Nie wyrzucimy jej, gdyż brak nam hartu ducha.

BEGA



BRONISŁAW LIS

— konserwator muzyczny przy ZDK w Mielcu
Rys. J. SIENKIEWICZ

Szlachetnej pasji ciąg dalszy

Nie było fanfar ani jupiterów. Uroczystość ta odbyła się przy zwykłym świetle elektrycznym i trzyosobowym zespole muzycznym. Czerwone róże, z którymi przyszła na spotkanie młodzież ze Skrzyszowa i kilka, a może nawet kilkanaście serdecznych słów, które padły nie za trybuny, ale z wyznacznie z auditorium oraz dyplom pamiątkowy, służyły określeniu ofiarnej i twórczej pracy, której już od dwudziestu lat, z dużym poświęceniem oddaje się młodzież z Kozodrzy w powiecie ropczyckim. Była to więc piękna, godna odnotowania uroczystość, związana z obchodami dwudziestolecia amatorskiego zespołu teatralnego, działającego w tej wsi.

Ten dwudziestoletni okres twórczej pracy na niwie upowszechniania sceny amatorskiej, a z nią równocześnie kultury i oświaty, wejście niewątpliwie do historii Kozodrzy.

Amatorski zespół teatralny w Kozodrzy powstał jesienią 1948 roku, to jest w kilka lat po zakończeniu działań wojennych, szczególnie tragicznych dla naszego kraju. Obok dramatycznej, a niekiedy heroicznej odbudowy wsi, która podobnie legła w gruzach jak i inne miejscowości, mieszkańcy Kozodrzy, przede wszystkim ówczesna młodzież zerwała się równocześnie do społecznej działalności kulturalno-oświatowej. Pod troskliwą opieką kierownika miejscowej szkoły — Michała Gołąba, powstał i zaczął działać zespół teatralny. Taki był początek. Na ogół trudny, ale pełen entuzjazmu i ambicji. W okresie dwudziestu lat zespół ten opracował i wystawił 65 sztuk. Między innymi takich autorów, jak Mollera, Fredry, Bałuckiego, Zabiłckiego, Czechowa i Gogola. Pierwszym przedstawieniem, opracowanym i wystawionym w Kozodrzy był „Wiesław” Kazimierza Brodzińskiego. Końcówce sceny tego utworu odegrane zostały z okazji obchodzonego jubileuszu. Odtwórcami poszczególnych postaci z „Wiesława” byli w większości pierwsi członkowie zespołu: Krystyna Szkulak, Zofia Barnas, Mieczysław Zawisłak, Zdzisław Śliwa, Marian Łącała i inni. Spektakle tej i następnych sztuk organizowano nie tylko w Kozodrzy, ale również w okolicznych miejscowościach: Borku Wielkim, Ociece, Brzezówce i Ostrowie. W tym okresie, występy zespołu teatralnego obejrzało ponad 10 tysięcy widzów.

Prawie co trzy lata przychodzili do zespołu nowi członkowie. Nie zmieniał się tylko jego kierownik, a zarazem reżyser — Michał Gołęb. „Dziękuję za dotychczasową współpracę. Proszę o dalszą, o dobrą chęć, o waszą dobrą wolę. Dziękuję tym, którzy tak szczęśliwie rozpoczęli działalność naszego zespołu i tym, którzy obecnie przychodzą do szkoły i opracowują nowe sztuki” — mówił z okazji dwudziestolecia Michał Gołęb. O działalności zespołu i jego roli, jaką odgrywa w upowszechnianiu amatorskiego ruchu artystycznego w powiecie ropczyckim, mówił także niezwykle sugestywnie Józef Feret, były aktor-amator, obecnie nauczyciel Szkoły Podstawowej w Żyrakowie, w powiecie debickim. Prawdziwym sukcesem zespołu teatralnego z Kozodrzy jest zdobycie nagrody ministra kultury i sztuki, w wysokości 7 tysięcy zł, za aktywny udział w konkursie „Wieś bliżej teatru”. Była to nagroda zespołowa, za wiele pięknych inicjatyw, pożytecznych wycieczek do teatrów zawodowych w Krakowie i Rzeszowie, za upowszechnianie wiedzy o teatrze i organizację spotkań, celem wymiany doświadczeń z podobnym zespołem działającym w Skrzyszowie. Z tym ostatnim, niemal na co dzień, łączy ich serdeczna przyjaźń i współpraca. Dowodem tego były czerwone róże i życzenia złożone na ręce Michała Gołąba w dniu jubileuszu. Młodzież ze Skrzyszowa ceni sobie bardzo przyjaźń z Kozodrzy. Sukcesem jest również otrzymanie przez Michała Gołąba nagrody indywidualnej za popularyzację i organizację konkursu „Bliżej teatru” w swoim środowisku. Tyle o sukcesach zespołowych i indywidualnych.

Zespół teatralny w Kozodrzy pracuje w niezwykle trudnych warunkach technicznych. Nie posiada stałej sceny, kurtyny, kulisy, reflektorów... Co prawda, to robił się na kilku kostiumów teatralnych i innych rekwizytów, ale najważniejsza jest scena. Kozodrza, znana nie tylko w województwie rzeszowskim ze wspomnianych na

wstępie strajków chłopskich, poza małą szkołą wybudowaną w 1910 roku, nie posiada żadnego innego obiektu z przeznaczeniem na cele społeczne. W tym małym budynku szkolnym skupia się od lat życie kulturalno-oświatowe wsi.

Warto przy najbliższej okazji dołożyć wszelkich starań, aby pomóc Kozodrzy przy budowie obiektu z przeznaczeniem na cele społeczne. W tym kierunku już nieraz podejmowana była inicjatywa mieszkańców wsi. Jednak za każdym razem spalała na przysłowiowej panewce, bo albo nie było odpowiedniego miejsca pod budowę, albo też nie było znikąd konkretnej pomocy.

Dwadzieścia lat, to mało i dużo. Mało dla ludzi, którzy obok spraw ogólnospołecznych przechodzą zwykle obojętnie, natomiast dużo dla tych, którzy swoją postawą i czynnym zaangażowaniem przyczyniają się do rozkwitu swojej miejscowości, do czynienia życia lepszym i radośniejszym.

EDWARD ZOŁOWSKI

STS MA 15 LAT

45 premier, około 2 tys. przedstawień, występy w Anglii, Jugosławii (trzykrotnie), Francji (dwukrotnie), NRD, NRF, Włoszech i ZSRR, Nagroda Państwowa III stopnia, Złota Odznaka ZSP — to bilans 15-letniej działalności popularnego STS-u, który w połowie bm. obchodzi swój jubileusz.

O początkach teatru i jego obecnej działalności przedstawiciel PAP rozmawia z członkami kierownictwa tej sceny.

Zaczęło się — mówi Andrzej Jarecki — w marcu 1954 r. Dokładnie 13 odbyła się w Domu Studenta pierwsza próba. Były to narodziny STS-u, nazywającego się jeszcze wtedy Studentem Zespołem Satyrycznym.

Pierwsze przedstawienie odbyło się 2 maja. Program był niezdarzy. Byłem na tej premierze i... pozostałem w teatrze do dnia dzisiejszego. Zaraz po premierze postanowiliśmy iść własną drogą. Wokół zespołu zaczęła się skupiać grupa autorów: Jarosław Abramow, Witold Dąbrowski, Tadeusz Strumppf i Jan Be-

ster. Stronę muzyczną reprezentowali Jerzy Tyszkowski i Marek Lusztig. Drugi program, który pokazaliśmy w jesieni, nosił nazwę „Prostaczekowie”, trzeci — „Konfrontacja”. Za nimi przyszły inne.

Jerzy Krasowski: Staramy się, aby nasz teatr zachował linię zaangażowanego teatru satyrycznego, a jednocześnie był studentki i stale odmiadał swe kadry. W listopadzie ub. roku przeprowadziliśmy rekrutację studentów-aktorów oraz piszących teksty i muzykę. Zgłosiło się 100 osób, z których wybraliśmy 16. Już w ostatnim naszym programie, „Wódka, wódeczko”, wystąpili nowi, młodzi aktorzy.

Obecnie przygotowujemy następny program „Gościny występ”, który zaprezentujemy po premierze jubileuszowej. Wypełnią go głównie utwory naszego młodego narybku, pracującego pod opieką starszych, doświadczonych kolegów.

Ostatnie lato Chopina

Słoneczna „migdałowa wyspa”, jak potocznie nazywa się Majorok, będzie tem filmu reż. Jaime Camino, poświęconego ostatniemu okresowi życia Fryderyka Chopina. Wiosną rozpoczęło się nakręcanie scen kameralnych w studio w Barcelonie, a latem ekipa przeniesie się na Majorok. Nad scenariuszem pracują Jaime Camino, David Hemmings i Terence Stamp; punktem wyjścia są dla nich... wiersze o Chopinie, które skrupulatnie przestudiowali w wszystkich dostępnych im językach. Film ma być bowiem poematem o muzyce, wielkości człowieka, uroku przyrody i miłości. Jak to określał twórca: Chopin miał tak zadziwiająco wyobraźnię, tworzył dla ludzi wszystkich czasów, stąd — nielato zrobić o nim dobry film. Zapewne dlatego wiersze o Chopinie tylko w Polsce powstało ponad pół tysiąca, we Francji ok. 150, ale filmów bardzo mało, liczy się właściwie tylko nasza „Młodość Chopina”.

W filmie nakręcanym w Hiszpanii rolę Chopina powierzono aktorowi włoskiemu Franco Negro, a rolę George Sand — objął ma Lucia Bose. (KT — PAP)

ZDARZENIA TYGODNIA

W ubiegły poniedziałek w lokalu rzeszowskiego Domu Sztuki odbyło się spotkanie radnych WRN i MRN z przedstawicielami związków twórczych, działających w Rzeszowie. Radni poinformowali o pracy reprezentowanych przez siebie rad oraz o realizacji wniosków i postulatów.

Dyskusja jaka się odbyła podczas spotkania skoncentrowała się głównie na zagadnieniach z zakresu kultury i oświaty. Wysłuchano kilka bardzo interesujących wniosków, dotyczących m. in. zaangażowania środowiska plastycznego w codzienne życie miasta, budowy pracowni rzeźbiarskich oraz spraw wydawniczych.

Miejski Komitet Organizacyjny Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego ustalił, że eliminacje miejskie w Rzeszowie odbędą się w dniu 12 kwietnia, w lokalu Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki.

Do eliminacji zostało dopuszczonych 30 indywidualnych recytatorów oraz dwa teatry poezji, tj. „Bademus”, działający przy klubie Miejskiej Gospodarki Komunalnej i teatr poezji „U bram”, skupiający studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej i nauczycieli.

Powiatowy Dom Kultury i Międzypółdzielni Klub „Sfinks” w Jarosławiu zorganizowały w ubiegłym tygodniu z okazji Światowego Dnia Teatru interesującą imprezę w ramach konkursu „Bliżej teatru”. Na program zostały się spotkania z aktorami rzeszowskiego Teatru im. W. Siemaszkowej, T. Czarnowskim i T. Olesieńskim oraz konkurs drużynowy, przebiegający pod hasłem „Czy znasz historię teatru w 25-leciu PRL?”. W turnieju uczestniczyło 5 drużyn, tj. cztery reprezentacje jarosławskich szkół średnich i jedna Międzypółdzielni Klubu „Sfinks”. Warto tu podkreślić, że ta ostatnia zajęła w turnieju I miejsce.

Impreza spotkała się z dużym zainteresowaniem mieszkańców miasta, o czym świadczą obecność około 250 osób. Z tej samej okazji w Jarosławiu PDK wystąpił Teatr Lalki i Aktora „Kacerek”, wystawiając dla najmłodszych widzów sztukę „Pietrek Niebieski”.

W dniach 22 i 23 marca odbyła się w Przemysłu kursowo-konferencka kierowników świetlic wiejskich, związków wiejskich, członków zarządów świetlic i rad klubów, odpowiedzialnych za pracę oświatową. Zajęcia obejmowały także zagadnienia jak: zadania placówek k.o. w kampanii wyborczej do Sejmu i rad narodowych, obchodach Dni Oświaty, Książki i Prasy, o mówienie niektórych form pracy oświatowej, zadania placówek w organizacji obchodów 25-lecia PRL.

Szkolenie zostało zorganizowane staraniem PDK i Powiatowej Poradni Kulturalno-Oświatowej.

Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK w Rzeszowie (25 bm.) bardzo interesującą imprezę, pn. „Rzeszowska piosenka ludowa”. Słowo wiążące wygłosiła mgr Izabela Pajdak. Następnie kapela ludowa WDK pod dyktando Jana Robaka z udziałem solistów wykonała zestaw melodii ludowych regionu rzeszowskiego. Na imprezie oprócz licznych mieszkańców miasta była obecna delegacja Min. Kultury i Sztuki ZSRR, goszcząca w tym czasie w Rzeszowie.

W dniach 22 do 24 bm. w Wojewódzkim Domu Kultury odbyło się kolejne szkolenie kadry instruktorów PDK, powiatowych poradni kulturalno-oświatowych i placówek związkowych, zorganizowane w ramach kwartalnych seminariów.

Tym razem w programie znalazły się zajęcia poświęcone tańcom lubelskim oraz niektórym zagadnieniom tańców rzeszowskich i tańca towarzyskiego. Uczestnicy zajęć zwiedzili także wystawę strojów kobiecych, czynną w rzeszowskim Muzeum Okręgowym.

W ostatnich dniach odbyło się w Rzeszowie walne zebranie członków Oddziału PTTK, na którym podsumowano działalność w roku ubiegłym oraz zatwierdzono plan pracy na rok 1969. Dokonano także wyboru delegatów na okręgową konferencję PTTK. Zarówno przedłożone sprawozdanie, jak i nakreślony plan pracy wykażą stałe rozszerzanie działalności oddziału i jego rozwój.